

GUY N. SMITH

**KLESZCZE
ŚMIERCI**

Przełożyła Monika Kazimierczak

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1991

Błąd w eksperymencie genetycznym powołał do życia oszalałe żądzą mordu bestie w postaci KRABÓW, Rozpoczyna się bezwzględna walka, której wynik jest nie do

przewidzenia...

Cykl KRABY jest przeznaczony wyłącznie dla dorosłych, czytelników o mocnych nerwach.

Konstrukcja i akcja cyklu nawiązuje do słynnego horroru "Szczęki."*

KRABY zostały już wydane we Francji, Niemczech, Szwecji, USA.

Ofiarami krabów stają się piękne kobiety, bogaci mężczyźni, którzy przybyli na małą wyspę z nadzieją oderwania się od cywilizacji. Znajdują relaks, przyrodę i Erosa... ale ich marzenia szybko przeradzają się w koszmar.

P R O L O G

Z nadejściem stycznia ławice dorszy zaczęły opuszczać posępne Wyspy Lofoten i przesuwać się ku Vestfiorden. Za nimi ruszyły w morze łodzie rybackie, których załogi składały się przeważnie z farmerów, szukających odmiany w pracy na morzu.

Zwyczaj ten zachował się od czasów panowania Wikin-gów i nie zaniknie, póki w morzach będą ryby. W ciągu trzech miesięcy na pokładach owej floty znajdzie się około pięćdziesięciu milionów funtów ryb. Nie chęć zarobku jednak pchała nieubłaganie tych ludzi przez sztormy i wzburzone morze, a tradycja, będąca sposobem ich życia.

Szyper Ol Larsen stał na mostku swojej Suelt, wpatrując

się melancholijnie w zachmurzone, ołowiane niebo. Ledwo spojrział na napełnione sieci, które załoga właśnie wyciągała na pokład. Był to jego ostatni rejs i nie miałyby to już żadnego znaczenia, gdyby wrócił z pustymi rękami.

Przygnębiecie, które odczuwał, rozumieli tylko ci, którzy go znali i pływali z nim przez ostatnie półwiecze. Ciemnoniebieskie oczy dawno straciły swój blask, stając się prawie obojętne wobec życia. Minęły czasy, kiedy wysoki i wyprostowany przemierzał pokład, nadzorując robotę. Jego ramiona znacznie się przygarbiły, a w gęstej, jasnej brodzie coraz wyraźniej przeświecały srebrne nitki.

Obserwował właśnie małe sylwety kutrów, odcinające się wyraźnie od szarej toni. Zazdrościł ich szyptom; nieraz jeszcze dane im będzie powrócić na morze. Zaciśnął palce na poręczy, aż pobielaly kości nadgarstków. Szare niebo nad nim zaczynało ciemnieć. Zapadała noc.

Skurcz nagłego bólu przeszył mu pierś. Minął tak nagle, jak przyszedł, pozostawiając go drżącego jeszcze z wrażenia, ale i uspokojonego. Stwórca podarował mu następnych kilka chwil życia. Stał tak, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, i bezdźwięcznie poruszył ustami. cicha modlitwa, nie tylko podziękowania, ale i prośba. chciał zakończyć życie, tak jak je rozpoczął - na morzu.

Powoli zszedł do swojej kajuty na niższym pokładzie. Dobrze znał objawy, wiedział, co znaczył ten ból. Angina. Stwardnienie arterii, dziedziczne w wielu przypadkach. Wszyscy Larsenowie uskarżali się na te same symptomy. Jego dziad, ojciec i trzech bracia umarli w ten sam sposób. Bóle w ramionach pewnego dnia obejmą całą klatkę piersiową. Wtedy pozostawała nadzieja, że życie potrwa jeszcze trzy tygodnie.

Ciągle ubrany w grubą marynarską bluzę i wodoodporne

spodnie położył się na koi. Zasnął prawie natychmiast, bo ostatni atak był o wiele bardziej wyczerpujący niż poprzednie.

Ze snu wyrwało go walenie do drzwi, które stawało się tym bardziej natarczywe im dłużej ociągał się ze wstawaniem. Czuł się słaby i chory, i prawie osunął się na ziemię, próbując się podnieść.

- Co tam?

Drzwi otworzyły się i na tle nocnego nieba zobaczył ciemną postać farmera będącego po raz pierwszy na morzu. Lecz Larsen nie mógł przypomnieć sobie jego imienia.

- Kapitanie Larsen - głos mężczyzny dobiegał z zewnątrz, gdy ten usiłował dojrzeć cokolwiek w ciemnościach - czy wszystko w porządku?

- O co chodzi, chłopcze? - burknął Larsen, próbując jakoś ukryć swój stan. Za wszelką cenę pragnął pozostać sobą do końca i nie okazywać słabości przed swymi ludźmi.

- Krab, szefie. - Farmer wskazał na pokład za sobą.
- Złapaliśmy kraba.

- I obudziłeś mnie, by mi o tym powiedzieć!

Marynarz przełknął ślinę. O starym krążyła opinia, że głupoty nie tolerował.

- Zawsze łapiemy kraby - ryknął Larsen wstając, co ponownie wywołało falę zawrotów głowy. - Podczas połowu zwykle zaplącze się coś w sieci. Wyrzuca się je. Idź teraz i...

- Ale to nie jest zwykły krab, kapitanie.

- Nie jest zwykły? - Larsen z trudem powstrzymywał się od oparcia o ścianę. - O co ci chodzi, chłopcze? Krab to krab...

- Ten jest duży, sir. Bardzo duży. Ma ze cztery stopy, a został złowiony na głębokości trzystu stóp.

- Pokażcie go - Larsenowi jakby wróciły siły i ci, którzy spoglądali nań znad roboty przy ostatnim wyładunku, nie zauważyli niczego dziwnego, gdy podązał za chłopakiem po

śliskim pokładzie.

Noc zapadła szybko. Lampy naftowe oświetlały stosy świeżo złowionych ryb, beczki, liny i sieci, rozciągnięte na pokładzie. Larsen głęboko wciągnął powietrze i ostry powiew zdawał się go orzeźwić. Zapomniał o strachu.

- Tutaj, szefie. - Proszę spojrzeć, to prawdziwy olbrzym.

Szyper zatrzymał się na rufie pokrytej włókiem, prawie pustym z wyjątkiem paru ryb i kraba. Grupa rybaków obserwowała wszystko z bezpiecznej odległości.

- Dobry Boże! - Larsen wytrzeszczał oczy myśląc przez chwilę, że choroba uszkodziła pracę mózgu. To, co widział, jednak istniało. Krab o czterech stopach długości. Nie jego rozmiar przecież ani nawet szczękające kleszcze kazały mu szukać oparcia na balustradzie, to sposób, w jaki . stwór patrzył, jego małe nieruchome oczy lśniąco w świetle naftowych lamp. To, i coś, czego nie umiał wytłumaczyć, mimo że życie spędził na połowach. Było coś z ł e g o w tym krabie. W ogóle się nie bał. Zwykle stwory morskie uciekały od ludzi. Ten nie. Próbował nawet zbliżyć się do patrzących, powstrzymywała go jednak ciężka sieć. Syczał gniewnie.

- To potwór, kapitanie.

Larsen nie odpowiedział. Nie trzeba było mówić, wszyscy to widzieli.

- Wyrzucić go z powrotem, szefie?

Ol Larsen zawahał się, zanim odpowiedział.

- Nie - powoli rozejrzał się po twarzach marynarzy.

- Weźmiemy go ze sobą. Przenieście go ostrożnie do mniejszej sieci i zawleczone na tył. Jutro o tej porze dobijemy już do Narviku.

Wrócił na kaję, ale tym razem nie mógł zasnąć. Był spocony mimo chłodu. Zastanawiał się nad połączeniem z Zarządem Portu w Narviku ale to niewiele by zmieniło. W

ciągu doby sami zobaczą. Przypomniał sobie podobny wypadek sprzed kilku miesięcy, podczas połowu w Vadso. Przywieźli wtedy ze sobą podobnego kraba. Miał dwanaście i pół funta, a długość prawie całego jarda. Złowiony na dwustu siedemdziesięciu stopach; został uznany za okaz rekordowy. Prawdopodobnie trafił do muzeum, a o całym wypadku wkrótce zapomniano.

Dzisiejszy krab był jednak znacznie większy - stwierdził - ale to odkrycie wcale go nie ucieszyło. Stwór leżący w sieci nie był starym mieszkańcem oceanu, który urósł do niezwykłych rozmiarów. To był nowy gatunek! Coś wyraźnie zaczynało psuć się w naturze.

Stary kapitan krzyknął nagle z powodu nowej fali bólu. Jego śmiertelny jęk zagłuszyły jednak fale, miarowo uderzające o burtę.

Usiłował wstać, by połączyć się z władzami portu. Powinni o tym wiedzieć, ale jego stan dawał nikłe szanse na zrelacjonowanie faktów osobiście. Nie mógł tak zostawić załogi, szczególnie teraz.

Odczekał chwilę, mając nadzieję, że ból i tym razem ustąpi. Na próżno.

Modlitwy kapitana Larsena pozostały bez odpowiedzi, ból narastał, aż czerwone plamy przed oczami zmieniły się w zupełną ciemność. Upadł na kaję. Wstrząsnął nim jeszcze jeden wielki spazm i odtąd leżał już bez ruchu.

Dniało, kiedy młody marynarz zapukał nieśmiało do drzwi kajuty. Po kilku minutach odważył się wreszcie i wszedł, stając oko w oko ze śmiercią już po raz drugi tej nocy. Ogarnięty paniką pobiegł na pokład, wzywając pomocy.

Mężczyźni na pokładzie odwrócili się nagle słysząc krzyk, a twarze ich jeszcze bardziej pobladły. Szeptali między sobą, wpatrując się z przerażeniem w porwaną sieć i leżącą nieopodal zakrwawioną ludzką nogę.

Stwierdzili, że była to noga Olsena, ponieważ tylko jego brakowało, a został wyznaczony do przeniesienia kraba. Co gorsza, stwór zniknął także.

W tydzień później kapitan Larsen został pochowany w morzu, zgodnie z rodzinną tradycją. Jego ciało zniknęło na zawsze w głębinach, a władze Narviku otrzymały stosowną informację.

Rozdział I

Podwodny świat wokół australijskiej Wielkiej Rafy Koralowej jest najwspanialszym na ziemi skupiskiem koralu i życia oceanicznego. Ciemnoniebieska woda jest tutaj tak przejrzysta, że wyglądając z łodzi można dojrzeć na głębokości stu pięćdziesięciu stóp bajkowy świat koralowych tworów. Wśród błękitu, czerwieni i zieleni przemykają ryby jak stada ptaków pomiędzy gałęziami. Ale w całej tej doskonałości toczy się wciąż bezlitosna walka o przetrwanie. Drapieżniki gonią swe ofiary, słabsze gatunki kryją się w popłochu przed napastnikami. Jedynie tylko rekin - biały olbrzym - pozostaje niewyciężony.

Mniej więcej osiemdziesiąt mil od Mackay, na wybrzeżu Queensland, leży wyspa Hayman. Jest to jedna z grupy wysepek, takich jak Brampton, Lindeman, Long, South Molle i Daydream. W odróżnieniu od sąsiednich lądów pozbawiona jest majestatycznych granitowych szczytów i gęstych zalesionych zboczy. Pagórkowatą powierzchnię, porośniętą

sawanną, okalają spękane skały, ozdobione tu i ówdzie porostami. Od strony wybrzeża toną w bogatej roślinności dżungli i zielonych sosnach. Wszystko to góruje nad rozległą plażą, koralowymi skałami i zdradliwymi głębinami. Wody wokół Hayman opanowały rekiny, toteż stale patrolujące helikoptery ostrzegają amatorów kąpieli i sportów wodnych o obecności owych atakujących drapieżników, stanowiących zagrożenie dla ludzkiego życia.

U brzegów zatoki Barbecue wybudowano Royal Hayman Hotel, najbardziej luksusową rezydencję na całym archipelagu. Otaczają ją małe domki letniskowe, przycupnięte między palmami i wybujałą wiecznie zieloną roślinnością. Ten najnowocześniejszy z kurortów, zaopatrzony został także w każdy rodzaj sprzętu do sportów wodnych, połowów, czy rafowania. Oferuje też nocne życie, porównywalne z londyńskim lub nowojorskim. Samoloty i helikoptery, codziennie obsługujące turystów, przewożą ich z Mackay i Prosperine na ten opalizujący pośród głębin morskich, klejnot.

Podwodne życie niewiele zmieniło się w ciągu milionów lat. Człowiek objął panowanie na lądzie; nie potrafił jednak podbić oceanu, by korzystać z jego dobrodziejstw. Większość urlopowiczów przebywających na Hayman, wykazuje małe zainteresowanie morskim królestwem. Ludzie reagując na ostrzeżenie przed rekinami, zadowolają się leniwym, bezpiecznym plażowaniem.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, jak długo Klin mieszkał na wyspie. Starzy bywalcy nie wyobrażali sobie Barbecue Bay bez wysokiego krzepkiego mężczyzny, o spalonej słońcem, mahoniowej skórze. Rozczochrana czupryna i stercząca broda okalały surową twarz z ciemnymi oczyma, skrywającymi nieznanne myśli. Nie sposób było określić jego wieku z dokładnością do piętnastu lat. Gibkie ciało, które chroniły tylko

wystrzępione spodenki khaki i sandały, poruszało się ze zwinnością młodego atlety. Oczywiście jednak zdradzały dojrzałość czterdziestoletniego mężczyzny.

Nawet mieszkańcy wyspy niewiele wiedzieli o pochodzeniu Klina. Pewien stary rybak opowiadał, że kilkanaście lat temu dobił do brzegu amerykański statek, aby dokonać naprawy, a kiedy w końcu odpłynął, na brzegu pozostał chudy wyrostek. Przez kilka tygodni ukrywał się w górach, aż któraś z tubylczych rodzin ulitowała się nad nim i przyjęła do siebie. Ale były to tylko plotki i nikt nie wierzył fantazjom rybaka. W każdym razie Klin był częścią Hayman, jej legendą, tak jak i rafy koralowe.

W zasadzie Klin był rybakiem, choć pracował na stałym etacie w hotelu jako przewoźnik turystów przez niebezpieczne wody zatoki. Do małej pensji klienci z reguły dołączali jeszcze napiwki. A połów z Klinem gwarantował bezpieczny powrót, i rzadko z pustymi rękami, chociaż bezpieczeństwo i sport z trudem mogły iść ze sobą w parze pośród raf.

W wolnym czasie Klin brał swoją łódkę i wyruszał na połowy tuńczyków i krabów. Z materialnego punktu widzenia był to lepszy kąsek, gdyż błotne kraby z Queensland służyły u koneserów jako największy rarytas spośród stworów morskich.

Pomiędzy owymi zajęciami asystował czasami Shannonowi - dowódcy patroli, wyprawiając się z nim helikopterem na poszukiwanie rekinów.

- Mógłbym cię zatrudnić na stałe - powiedział kiedyś Shannon. - Masz oko jak rybołów.

- Twój ludzie mają lornetki - Klin pokręcił głową. - Zresztą woda jest tu tak czysta, że rekiny widać na głębokość dwustu stóp.

- Możliwe - oficer pogłaskał się po kwadratowej szczęce. Nie miał sposobu, by go przekonać. - Ale to nie tylko widoczność. Ty czujesz rekina na trzysta stóp. Diabelnie

dobrze.

Klin rzeczywiście znał podwodny świat wkoło wyspy. Czasami zabierał fotografów i nurków na wyprawy pomiędzy rafy i nie zdarzyło mu się jeszcze utracić człowieka z powodu rekinów lub węży morskich.

Najbardziej lubił jednak samotne wyprawy w pełni księżyca, długie połowy błotnych krabów i powroty o brzasku.

- Można tu zgubić serce - powiedział kiedyś Corderowi, australijskiemu dziennikarzowi, przygotowując się do wypłynięcia tuż przed zachodem słońca. - Wszystko wokół jest oceanem albo zostało przezeń stworzone. Człowieka poznaje się tutaj lepiej niż w barze hotelowym.

- chciałbym się kiedyś wybrać z panem na nocną wycieczkę - Corder zsunął swój kapelusz z szerokim rondem na tył głowy, ukazując czerwoną, świeżą opalenizną twarz.

- Może któreś nocy - odparł Klin zwijając cumę - lecz nie dziś. I jeszcze jedno, panie Corder. Warto by obsmarować tych cholernych japońskich kłusowników. Każdego tygodnia zgarniają po pięćdziesiąt tysięcy dolców za same kraby, a jeszcze dochodzą tuńczyki. W ten sposób opustoszą Hayman w ciągu roku.

- Władze tokijskie zabroniły połowów na głębokości mniejszej niż czterysta sążni - Corder powtarzał zasłyszane zapewnienia prasowe.

- Bzdura - Klin splunął za burtę. - Robią was w jajo. - Oczy zwężyły mu się, a wargi utworzyły cienką kreskę. Zdenerwował się.

- Mogę uprawiać tę propagandę, ale w rzeczywistości pieprzę to wszystko. Rząd australijski nie chce interweniować. Dlaczego? Powiem ci, Corder. Ponieważ trzęsą portkami przed Japońcami, tak jak w tej pieprzonej wojnie. Mogłoby to popsuć

układy handlowe lub doprowadzić do międzynarodowego konfliktu. siedzą za swoimi biurkami i pasą dupy, bojąc się awantur o kilka krabów czy tuń- czyków. Bo co znaczy dla nich Hayman i inne wyspy? Cholernie mało. Chyba nie myślisz, że pozwolimy żółtkom na opróżnienie naszych wód, co, Corder?

Reporter cofnął się o krok. Każdy na wyspie wiedział, że kiedy Klin przestawał kogoś tytułować, to czas najwyższy, aby się wycofać.

- Z całą pewnością dopilnuję, żeby dowiedział się o tym kto trzeba na Queensland - obiecał.

- Nie będziemy tu siedzieć i czekać, aż coś postanowią - Klin schylił się po strzelbę leżącą na dnie łodzi. - Widzisz to, Corder? Znana jako „świder”. Dubeltówka kaliber szesnaście, z dodatkową lufą 7 ‘ 3 mm poniżej. Niemiecka. Facet, który mi ją podarował, pływał ze mną w zeszłym miesiącu. Mówił, że dziurawi dzika z dwustu jardów. Nie sprawdzałem na razie, ale założę się, że ci cholerni kłusownicy będą zwiewać gdzie pieprz rośnie. Może nawet uszkodzić łódź.

Corder przełknął ślinę.

- Kilka ryb to nie powód, by zabijać kogokolwiek - powiedział słabo.

- Jesteś taki sam jak cała ta banda - Klin zapuszczał motor.

- Jeśli ktoś zniszczy moje środki do życia; zginie. Wielu ludzi stąd myśli podobnie, więc napisz o tym w tym swoim szmatławcu.

Po chwili silnik zagłuszył możliwą odpowiedź dziennikarza. Obserwował łódkę, aż stała się ledwo widocznym punkcikiem w zatoce i powoli ruszył w stronę hotelu.

Klin dryfował teraz o zachodzie słońca. Nie spieszył się. Zamierzał zacząć połów dopiero za dwie, trzy godziny. Miał

teraz określony cel przed sobą. Stawiał na swoją intuicję, współzawodnicząc z wymyślnym japońskim urządzeniem, lokalizującym kraby i ławice tuńczyków.

Po pewnym czasie, myśli o Corderze i rabusiach ustąpiły, a ich miejsce zajęło wspomnienie wysokiej, atrakcyjnej brunetki, która niedawno przybyła do Royal Hayman Hotel. Carolina du Brunner. Widział ją tak wyraźnie jakby siedziała teraz obok niego w łodzi. Kobieta o najdoskonalszej urodzie jaką kiedykolwiek widział. Jędrne piersi i różowe sutki ciemniejące z podniecenia. Ciemne włosy kusząco układały się między delikatną bielą ud. Dziwna dziewczyna, myślał. Ledwo przekroczyła trzydziestkę, a miała już za sobą trzy małżeństwa. chłodna i obcasowa przy pierwszym spotkaniu, później, kiedy się kimś zainteresowała, stawała się bardziej zmysłowa niż Bondi Beachl w środku lata. A zainteresowała się właśnie Klinem. Zastanawiało go to. Patrząc prawdzie w oczy, nie miał nic do zaferowania. Nie 'mogła znać ani stanu jego konta w banku na Mackay, ani tym bardziej zarobków z połowu krabów, których nie wydawał, bo nie miał nawet okazji. Był odludkiem, nie mówił zbyt wiele. Ostentacyjnie ignorował ją owej pierwszej nocy, kiedy zostali sobie przedstawieni. Może to był właśnie powód. Znudzona wielkim światem, znalazła wreszcie kogoś prymitywnego - oczywiście fizycznie. To było prawdziwe piekło, kiedy znaleźli się w końcu u niej w pokoju; bez reszty poddała się zmysłom. Czuł jeszcze ostre paznokcie na ramionach i piersiach, którymi rozdrapywała skórę podczas dwóch długich orgazmów. Atakowała go, błagała ażeby nie zwalniał uścisku. Nie zrobił tego. Żadna kobieta nie pokonała Klina, zawsze chciał więcej, gdy one były już wyczerpane. Prawie udało się to byłej żonie magnata naftowego, J.C. du Brun- nera. Prawie, bo w końcu twardo zasnęła, a on wymknął się z pokoju.

Wspominając Caroline zaśmiał się cicho. Dzisiaj w nocy

znowu mógł ją odwiedzić, ale wybrał się na połów. Żadna nie będzie nim kierować. Pójdzie do niej dopiero, kiedy będzie jej potrzebował.

Zaklął, wyczuwając nagle twardnienie i widząc wypukłość spodni. Mechanicznie powrócił myślami do sprawy japońskich kłusowników. W ciągu kilku minut erekcja ustąpiła, a zaciśnięte wargi pobrały. Zacięty wyraz twarzy nie wróżył nic dobrego temu, kto łowił nielegalnie na wodach obok Hayman.

Księżyc wschodził, kiedy rozpoczął połów. Zarzucił sieci i wyłączył silnik. Mógł teraz pozwolić łodzi swobodnie dryfować z prądem. W ten sposób najbardziej lubił łowić; cicho jak koralowe widmo.

Przez następnych kilka godzin mamie mu szło, pomimo dużego doświadczenia. Miejsce wybrał dobre. Połowy zakłócały łodzie kłusownicze, noc w noc penetrujące wody swymi perfekcyjnymi urządzeniami. Nie mogło to trwać dłużej.

Zaczynało już świtać i księżyc przybladł, kiedy zauważył łódź. Bezszelestnie wypływała zza koralowej skały i Klin łatwo mógł dostrzec czterech mężczyzn, którzy zarzucali sieci. Na pierwszy rzut oka statek był co najmniej cztery razy większy niż jego łódź z osmio- lub dziewięcioosobową załogą.

Klin warknął jak wilk. Nie widzieli go, a nawet gdyby zauważyli, nikt nie przejmowałby się obecnością samotnego rybaka.

Nie zapuszczał silnika. Nie było potrzeby, jego łódź swobodnie dryfowała w ich kierunku. Przytrzymał tylko sieci, aby nie wstrzymywały kursu. Potem podniósł strzelbę i usadowił się na dziobie.

Coraz bliżej. Trzysta jardów... dwieście... silnik kłusowniczego kutra zachłysnął się. Byli gotowi do połowu. Mogliby go łatwo zgubić, gdyby ruszyli z miejsca. Klin odbezpieczył

broń i złożył się. Miał trudności z celowaniem w słabym świetle księżyca. Potrzebował nowoczesnej lunety z soczewkami na podczerwień, zapobiegającymi jakimkolwiek odchyleniom.

- Cholera - mruknął pod nosem. Opuścił lufę i spróbował użyć bezpiecznika. Nie było to łatwe, tamta łódź cały czas się poruszała, zwiększając odległość.

Na pokładzie widział trzech mężczyzn, kiedy zdenerwowany nacisnął spust. Poczul uderzenie w prawe ramię, a ponad wodą zakłębił się dym jak zapowiedź tropikalnej burzy.

Klin celował w mężczyznę stojącego najbliżej rufy, ale trafił jednego z tej trójki. Postrzelony zatoczył się i w końcu upadł.

- Niech was diabli! - krzyknął głośno, instynktownie wyczuwając, że statek poruszał się szybciej, niż przypuszczał i trafił nie w kogo celował. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Wszyscy byli winni w obliczu ustanowionego przez niego prawa. Osądzeni i skazani. Ładował broń, gotów wykonać wyrok na kłusownikach wód Hayman.

Nagle pokład, znajdujący się teraz zaledwie sto jardów od niego, zapelniał się ludźmi. Prawdopodobnie nic nie słyszeli przez warkot silników i nie podejrzewali nawet obecności Klina.

Wypalił znowu, lecz tym razem chybił. Kłusownicy pochowali się. Wiedzieli już, skąd dochodziły strzały.

Klin ładował ponownie, kiedy pierwszy pocisk trafił w obudowę kabiny, o dwie stopy nad jego głową. Instynktownie przeturlał się do tyłu, przyłgnąwszy twarzą do dna łodzi. Minęło kilka sekund i seria kul podziurawiła miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą tkwił. Słyszał staccato kul świszających nad nim jak rozwścieczone moskity. Przeturlał się znowu na bezpieczniejsze miejsce za stosem sieci.

Nawet przez moment nie odczuwał strachu, choć była to

oczywista głupota. Trzeba być szalonym ryzykując atak na ogromny, doskonale osprzętowany statek bez żadnego rozpoznania. Ciężkie pociski dziurawiły drewno wokół niego. Strzelali bez przerwy, zdecydowani nie przepuścić nikomu na małej łodzi. Wstać teraz i próbować się bronić byłoby samobójstwem.

Klin leżał więc, odłożywszy bezużyteczną broń. Nie modlił się. Był fatalistą. Jeśli któraś z kul jest dlań przeznaczona, osiągnie go. Nie można było już nic zrobić.

Tymczasem ogień jakby zelżał, a kule przelatywały rzadko sięgając celu. A silniki kłusowniczej łodzi szły pełną parą. Najwyraźniej się oddalała. Nocne zdobycze okazały się więc ważniejsze, niż niegroźny napastnik. Może zresztą uważali, że został trafiony i nie chcieli tracić cennego czasu.

Wstał jednak dopiero, kiedy warkot silników ucichł zupełnie. Patrzył na iskrzącą się w księżycowym świetle wodę. Była zupełnie obojętna na ludzkie losy.

Spróbował zapuścić silnik. Posłuchał od razu; jakimś dziwnym trafem ocalał od kul.

Klin nie spieszył się. Spojrzał na księżyc; było około trzeciej. Nie spodziewał się już nic złowić. Po chwili nonszalancko wyrzucił kraby z powrotem do morza. Taki mały łup nie miał żadnej wartości handlowej. Lepiej, żeby wróciły do głębi i jeszcze podrosły.

Płynął z prędkością niespełna trzech węzłów, kierując się w stronę lądu. Pierwszą osobą, którą chciał zobaczyć po przybyciu do brzegu, był Corder, a wiedział, że reporter rzadko wstaje przed dziewiątą. Nie było więc po co się spieszyć.

Po lewej mijali właśnie kolorową skałę. Sterczała z wody jak garbata prehistoryczna bestia morska. Jej sylwetka samotnie odcinała się od bezkresu wody.

Z początku ledwo spojrzał w jej stronę. Znał prawie każdą

ze skał koralowych otaczających wyspę. Czasem w ciągu dnia podpływał blisko którejś z nich, łowiąc błękitne pstrągi.

Nagle zaalarmowany, autentycznie sięgnął lewą ręką, by zwolnić szybkość łodzi do jednego węzła.

Długo nie mógł określić, co zaprzętnęło jego uwagę. Wiele razy mijał tę rafę, zarówno w dzień jak i w nocy, ale teraz nagle coś się zmieniło. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Koral wyglądał tak samo jak sprzed paru dni, chociaż...

Po chwili dokładnie już wiedział, co kazało mu zwolnić. Po raz pierwszy od wielu lat, prawdopodobnie od czasu, kiedy zanurkował w pogoni za białym olbrzymem, doświadczył owego lodowatego dreszczu na plecach i mrowienia w opuszkach palców.

Część koralu poruszała się!

- Boże! - wymamrotał i zwolnił silnik do minimalnych obrotów.

Wpatrywał się znowu w dziwny kształt i po paru sekundach wiedział już, że się nie omylił. Z lewej strony wierzchołek najwyraźniej zmienił kształt, tak nieznacznie jednak, że mogło to być równie dobrze złudzenie optyczne spowodowane ruchem łodzi. Podpłynął tak blisko, że wyraźnie widział wyrwę pod nią. Instynktownie obrócił ster i dziób łodzi odsunął się od tego przerażającego, niewytłumaczalnego zjawiska. Ciekawość jednak wzięła górę i zdecydowanym ruchem zatrzymał kuter.

Zorientował się, że poruszał się nie sam koral a coś, co przylgnęło doń tak mocno, że zdawało się być jego częścią.

Łódź pchana lekkim wiatrem zbliżyła się teraz tak, że z odległości pięćdziesięciu jardów Klin zidentyfikował wreszcie przedmiot swej ciekawości. Był to ogromny krab, wielkości małego samochodu!

Oblał go zimny pot. Widział to teraz zupełnie wyraźnie, i to widziało jego. Dlatego właśnie zmieniło pozycję, świadome jego obecności, gotowe stanąć z nim twarzą w twarz. Para czerwonych oczu połyskujących w świetle księżyca, wpatrywała się weń bez drgania.

Klin zdawał sobie sprawę z tego, co widział, i usiłował za wszelką cenę znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Nie był to błotnisty krab z Queensland, to pewne. Był fenomenem, z jakim do tej pory nigdy się nie zetknął i wiedział, że według wszelkich praw natury nie miał prawa egzystencji na wodach Pacyfiku i gdziekolwiek indziej.

Pomyślał o broni leżącej w zasięgu ręki, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Potrzebowałby znacznie większego kalibru.

Krab nie zdradzał najmniejszej ochoty do jakiegokolwiek manewru. Jedynym ruchem było mrużenie ślepi, wskazujące na jawną wrogość.

Klin nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała ich wzajemna obserwacja. Mogło to być dziesięć sekund lub dziesięć minut. Im dłużej patrzył, tym większa była fascynacja - rodzaj obehwładniającej hipnozy. Gdyby krab wciągnął szczypcę, mógłby z łatwością przyciągnąć go do siebie.

W końcu stwór przerwał obserwację. Poruszył się znowu i oderwawszy się od skały, zniknął w wodzie.

Klin dopiero teraz zauważył, że drżał i pocił się jednocześnie. Ogarnięty paniką ruszył nagle na najwyższych obrotach tak gwałtownie, że łódź wystartowała z szarpnięciem, które odrzuciło go na rufę.

W ostatniej chwili przypomniał sobie o biegnących pod wodą koralowych półkach, bo ostrzegawczych boi nawet nie zauważył. .

Coś nagle zahuczało o dno łodzi. Miał nadzieję, że to koral,

choć już wyobrażał sobie gigantyczne kleszcze sięgające do łodzi, żeby zabrać swą zdobycz w ostatniej chwili.

Rozdział II

Właśnie świtało, kiedy Klin dopłynął do Barbacue Bay. W świetle dnia trudno było przyjąć istnienie koszmarnego stwora, którego widział na samotnej rafie. Ufał wszak sobie na tyle, żeby zdawać sobie sprawę z realności tego, co się wydarzyło.

- I pierwszym, którego muszę zobaczyć, będzie ten tłusty sukinsyn, Corder - rzekł do siebie idąc po brzegu. - Nawet jeśli będę wyciągał go siłą z wyra.

Royal Hayman Hotel był o tej porze zupełnie wyludniony, lecz pozostawiono otwarte boczne drzwi dla personelu, który rozpoczynał pracę wcześniej. Klin wszedł i sprawdził w recepcji numer pokoju reportera. Sto siedem. dojechał windą na drugie piętro. Idąc po miękkim, puszystym dywanie dotarł do drzwi pokoju Cordera. Miał zapukać, ale zmienił zdanie i nacisnął klamkę. Dobrze naoliwione zawiasy nie wydały żadnego dźwięku, wszedł więc cicho i zamknął za sobą drzwi.

Zajął mu kilka sekund oswojenie wzroku z panującym tu półmrokiem. Corder spał z szeroko otwartymi ustami na ogromnym łożu tuż przy oknie. Pościel miał rozrzuconą i Klin zachichotał na widok tłustego cielska, wciśniętego w wytworną, jedwabną pidżamę.

- Wstawaj, ty gruby, pryszczaty bękarcie - potrząsnął-

reportera za ramię.

- Co jest? - Corder nieprzytomnie mrugnął oczami, z miejsca zachmurzając się na widok gościa. - Co u diabła. Klin? Co za pomysł, żeby przychodzić do mnie? Ja...

- słuchaj pan. co mam do powiedzenia, Corder. - Klin usadowił się na krawędzi łóżka. - A kiedy skończę, proszę wstać i natychmiast zadzwonić do swojej gazety, bo będzie to najlepszy numer, jaki pan w życiu napisze.

Corder sięgnął po leżące przy łóżku papierosy, zapalił jednego i przez następnych dwadzieścia sekund walczył z kaszlem i nudnościami.

- Skończył pan? - Klin uniósł brwi. - Zdaje się, że pański rak się rozbija. Najlepiej go zalać.

- Daruj **pan** sobie - warknął Corder. - Lepiej, żeby to co Pan ma. było **naprawdę** dobre.

- Spokojnie - rzekł Klin i zaczął opowiadać o wydarzeniach ostatniej nocy, omijając strzelaninę z japońskimi kłusownikami- Gdy umilkł, Corder popatrzył na niego niedowierzająco.

- Hej - **powiedział** - jest pan pewny, że nie pił, palił lub...

- Nie bądź tak cholernie głupi - parsknął Klin. - Było tak, jak mówiłem. Zdejmuj teraz tę „żółciową” pidżamę i dzwoń do wydawcy.

- Nigdy mi nie uwierzy. Nie mamy dowodów.

- Ja to widziałem - Klin zbliżył swą twarz do twarzy Cordera tak, że tamten bez szemrania sięgnął po ubranie. Nie raz już słyszał w barze jak mówiono: „Jeżeli coś mówi, znaczy, że tak jest”. Nikt nigdy nie wątpił w to, co mówił ten facet, a Corder nie zamierzał być pierwszym. Zapominając o skutkach pierwszego papierosa sięgnął po następnego. Efekt był ten sam.

- Chodźmy lepiej do telefonu w foyer - oświadczył już ubrany.

Klin poszedł za nim na parter i czekał na zewnątrz, podczas gdy Corder grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu monet, naciskał guziki i gadał przez dziesięć minut. Wyszedł wreszcie spocony jak mysz.

- No? - spytał Klin.

- Nie nazwali mnie kłamcą - Corder podrapał się po głowie. - I nie wyśmiali. Zdaje się, że narobiłem im dużego zamieszania. Chcą szczegółów. Muszę zdobyć więcej informacji i zadzwonić do nich.

- A więc jednak ci uwierzyli - Klin oparł się o kontuar recepcji.

- Tak naprawdę to nawet ja nie wierzę w to, co widziałem na własne oczy.

- Ten krab, którego pan widział - przerwał dziennikarz zapalając nowego papierosa i tym razem już ledwie zakaszał - najwidoczniej nie jest pierwszy. Był już taki wypadek cztery lata temu w małym nadmorskim miasteczku w Walii. Nie pamiętam nazwy. W każdym razie, wielkie kraby pojawiły się tam nagle na brzegu, powodując prawdziwe piekło. Zdewastowały wszystko i nawet czołgi nie mogły ich stamtąd przegnać. W końcu spryskali je specjalnym środkiem przeciw chwastom. Zapewniano, że to je wykończyło, choć na pewno były i inne, które nie wyszły na brzeg. Stwory zniknęły; teraz zaś wracają.

- Ale jak? - Klin rozłożył ręce. - Jak mogą istnieć tak ogromne kraby? Nigdy nie przypuszczałem, że są jakieś większe od naszych, na Queensland.

- To anomalia, spowodowana eksplozjami nuklearnymi pod wodą - odparł Corder. - Jest jeden facet w Londynie, profesor, miał sporo roboty z tymi krabami wtedy w Walii. Od tamtego czasu ciągle nad nimi pracuje przekonany, że gdzieś, kiedyś pojawią się znowu. Moje pismo poinformuje rząd australijski, a oni z pewnością skontaktują się z Anglią.

Ten gość wie prawie wszystko o faunie morskiej, w każdym razie więcej niż ktokolwiek inny. Prawdopodobnie przyleci tu osobiście.

- No, chyba nie mają zamiaru spryskiwać Barbacue Bay - burknął Klin - jeśli tak zrobią, wyginą nie tylko kraby, ale i ryby. A propos, postanowiłeś coś w związku z kłusownikami? Bardziej martwi mnie sprawa ich nielegalnych połowów niż kilka przerośniętych krabów, których już pewnie nigdy nie zobaczymy.

- Napiszę o tym - rzekł Corder, który miał nadzieję, że Klin nie poruszy tej sprawy. W tym momencie interesowały go tylko kraby olbrzymy.

- Dziś wieczorem odbędzie się u mnie spotkanie - Klin ruszył w stronę drzwi. - Większość tutejszych rybaków tam będzie. Jeżeli nikt nie kwapi się załatwić tej sprawy, będziemy musieli zrobić to sami.

Corder uśmiechnął się. Najwyraźniej coś się zaczynało kręcić: spodziewał się przedłużenia pobytu na wyspie i dłuższego korzystania ze wszystkich przyjemności. Było mnóstwo gorszych miejsc niż Hayman, gdzie mógłby utknąć średniej klasy reporter.

Mieszkanie Klina znajdowało się niecałe czterysta jardów od hotelu; ukryte wśród palm. Tego wieczoru jego salon wypełniony był ludźmi; wyglądało na to, że przyszli wszyscy. Spóźnieni usiedli na schodach przed domem. Rybacy patrzyli teraz na wysokiego mężczyznę, który siedział na prostym krześle pośrodku pokoju.

Całe lata toczyła się między nimi rywalizacja. Nawet teraz wciąż traktowali go jak obcego przybysza, który zrobił większy interes na łowieniu ryb niż oni sami. A świadczył o tym chociażby jego wspianiały dom. Cała reszta mieszkała w chatkach w głębi lądu, w czymś w rodzaju getta,

oddalonego o dziesięć minut piechotą od plaży. Tej nocy jednak uprzedzenia zeszyły na dalszy plan i wszyscy patrzyli na niego w oczekiwaniu. Potrzebowali przywódcy i Klin został wybrany jednogłośnie.

Policzył wszystkich z satysfakcją. Potrzeba było dużo ludzi do walki z kłusownikami.

- W porządku - zaczął wstając, by siedzący na schodach mogli go widzieć. - Wszyscy wiemy, po co się tutaj zebrałiś- my. Jeżeli czegoś dziś nie postanowimy, w przyszłym roku nie będzie już co łowić. Dziś w nocy miałem starcie z Japońcami.

Zrelacjonował nocne wydarzenia, tym razem pomijając spotkanie z krabem. Dowiedzą się o tym i tak, a teraz nie chciał żadnych komplikacji. Złość na kłusowników narastała z aprobatą dla Klina.

- Są uzbrojeni - kończył Klin. - I nie zawahają się strzelać. Chciałbym, ażeby to było jasne. Rząd nie ma zamiaru interweniować. Na pewno wprowadzą zarządzenia, ale nie będą ich egzekwować. To należy do nas. Ktokolwiek chce zrezygnować, niech zrobi to teraz. Do nikogo nie będę miał żalu. Każdy z nas może zginąć. Nie mamy innego wyjścia, jak tylko walczyć z nimi. Oznacza to regularne nocne patrole. Teraz, kto z was posiada jakąkolwiek broń?

Podniosło się piętnaście rąk. Klin pytał o rodzaj broni. Głównie były to stare strzelby - prezenty od turystów i sportowców.

- W porządku - rzekł Klin. - Nie czyni to z nas, co prawda, armii ale możemy się bronić. Należałoby zorganizować patrole sześć albo siedmioosobowe. Jest nas wystarczająco dużo, aby każdy miał dyżur co trzecią noc. Na początku dyżur będzie trwał cztery godziny. Są

ochotnicy?

Wszyscy podnieśli ręce. Klin uśmiechnął się. Tubylcy byli rozwścieczeni i mieli sporo odwagi. Spokojnie wybrał siedmiu prawie niezawodnych. Pokaż najlepszych ze swej armii - to było jego motto. Zaskocz i uderz wroga najmocniej. Wiedział, że pierwsze starcie będzie najtrudniejsze.

- Rozdzielcie broń, weźcie dwie łodzie i pamiętajcie, żeby nie tracić się z oczu. Kiedy ujrzycie japoński trawler, zbliżcie się. Wyłączcie silniki, podpłyńcie jak najbliżej i otwórzcie krzyżowy ogień. Zaskoczenie waszą najlepszą bronią.

Po kilkuminutowej dyskusji wszyscy się rozeszli. Rybacy udali się do domu - niektórzy, by przygotować się do pierwszej nocnej wyprawy, inni - poszukać broni zdanej do walki.

Klin stał w drzwiach spoglądając na zatokę. Może powinien był poprowadzić pierwszy patrol. Nie sprawiłoby to żadnej różnicy. Byli zdeterminowani chcieli walczyć.

W głębi serca wiedział, dlaczego tak naprawdę nie szykował się dziś w nocy. Czuł wzrastającą wypukłość z przodu szortów. Nie spodziewał się, że tak szybko będzie znów potrzebował kobiety, a to był znak, którego Klin nie mógł ignorować. Postanowił zaczekać do zapadnięcia zmroku i wtedy odwiedzić Carolinę du Brunner. Kłusownicy i kraby mogą zaczekać kilka godzin.

Dwie siedmioosobowe załogi, tworzące patrol, spuściły łodzie na wodę na godzinę przed zapadnięciem zmroku. Kierownictwo objął Mackie, prawdziwy olbrzym, który od dawna miał na pieńku z Klinem. Zwykle ci dwaj zaledwie się tolerowali, ale teraz połączyła ich wspólna, sprawa.

Ciemna, brodata twarz Mackiego, podobnie jak u Klina,

wyrażała determinację, lecz ułożenie dolnej wargi drżącej w momentach niepewności sygnalizowało słabość charakteru. A Mackie nie był do końca przekonany. Ujmując ster spoglądał na swoją załogę i drugą łódź płynącą równolegle. Dlaczego Klin został? Czy wiedział coś, o czym nie wiedzieli oni? Czy szczegóły owego starcia z kłusownikami były prawdziwe, czy też Klin uciekł, zdecydowawszy wystawić rybaków na niebezpieczeństwo? Mackie żałował, że nie sprawdził śladów od kul na łodzi Klina; czułby się wtedy znacznie pewniej.

Zmrok zapadał szybko i po paru godzinach pokazał się księżyc - pomarańczowa kula powoli zmieniająca się w srebrną, by w końcu rozproszyć mrok swoim niezmiernym światłem. Obydwie łodzie przepłynęły jeszcze pięćset jardów i zatrzymały się oczekując. Teraz, kiedy ochłonęli już z zacieptrzewienia, każdy z nich modlił się, by nie pokazała się jakakolwiek łódź kłusownicza, a wówczas zachowując honor, mogliby spokojnie powrócić do domu. Wszyscy przybierali jednak odwagę, nie ośmielając się mówić głośno o swoich obawach.

Nie spodziewali się spotkać przeciwnika tak szybko. Zanim jednak wypalili pierwszego papierosa, usłyszeli silnik zbliżającej się łodzi, a po dziesięciu minutach ukazała się i ona sama, lawirująca między ukrytymi rafami. Kłusownicy zapewne dobrze znają teren stwierdził Mackie z nadzieją, że jego dwóch towarzyszy nie zauważy drżenia rąk, gdy pokazywał łódź. Kotwica była podniesiona i dryfowali teraz z prądem. Mackie rozejrzył się. Druga łódź płynęła za nimi i, jeżeli kłusownicy nie zwiększą prędkości lub nie zmienią kursu, spotkanie było pewne.

Zapadła cisza przerywana tylko łagodnym pluskiem fali. Japońska łódź wylączyła silniki. Rybacy ujrzeni na pokładzie kilku mężczyzn; małe figurki odcinały się od połyskującej

srebrnej wody. Usłyszeli cichy plusk zarzucanych sieci. Japończycy nie mieli zamiaru wracać z pustymi rękami, nawet gdyby zauważyli cicho podpływające kutry. Mackie ścisnął strzelbę w wilgotnych dłoniach. Usłyszał metaliczny stuk odbezpieczanego starego Mausera. Trzeci z nich miał też dwururkę, kaliber dwadzieścia osiem, której rzadko używał z powodu kłopotów z amunicją. W drugiej łodzi była jeszcze jedna dwudziestka dwójka i trzy strzelby.

Mackie był zdziwiony, że tak szybko dotarli do trawlera. Prąd był silniejszy, niż się spodziewał. W tej chwili pragnął tylko, aby kłusownicy zobaczywszy ich zapuścili silniki, podnieśli sieci i jak najszybciej stąd odpłynęli. Ale nic takiego się nie stało. Łódź kłusownicza dalej tkwiła z wyłączonym silnikiem. Przez chwilę Mackie czuł się nieswojo.

Był to jakby statek widmo, z którego ulotniło się życie. Co się zatem stało z załogą?

Strażnicze łodzie podpłynęły już na odległość mniejszą niż sto jardów, tworząc z kłusownikami jakby trójkąt. Oczekiwano decyzji Mackiego, który nerwowo ścisnął strzelbę, zastanawiając się czy krzyknąć, czy oddać pojedynczy strzał. Miał sześćdziesiąt sekund do namysłu.

W pewnym momencie odgłosy strzałów zakłóciły ciszę nad Barbacue Bay. Ogień otwarto z pokładu japońskiego trawlera, początkowo równoczesnymi seriami, a potem w krótkich odstępach.

Mackie zachwiał się, gdy pierwsza kula przeszła mu pierś, utkwiała w ścianie kabiny. Jego wrzaski przerwała następna, która przedziurawiła mu krtań, kalecząc tętnicę tak, że bryzgał krwią osuwając się na deski pokładu. A trzeci pocisk zdążył jeszcze przeorać mu zebro, zanim znalazł się na dnie łodzi.

-owiący na wodach wokół Hayman uczą się reagować

natychmiast. Często jest to sprawa życia i śmierci, zwłaszcza przy spotkaniu z polującym rekinem. I tak, choć otwarcie ognia było zupełnym zaskoczeniem, rybacy błyskawicznie, jeszcze przed drugą serią, pochowali się w łodziach. Księżyc i silny prąd nie sprzyjają nawet najlepszym strzelcom i Mackie miał cholernego pecha tak jak człowiek, którego Klin trafił zeszej nocy. Zajmował jednak widoczne miejsce i dlatego kłusownicy skierowali ogień właśnie na niego.

Kłęby dymu unosiły się z pokładu trałowca. Dziewięciu mężczyzn patrzyło na kapitana, który obserwował efekty starcia przez podczerwoną lunetę. Krzyknął coś w swoim języku, a snajperzy podnieśli się szybko i ruszyli do swoich zajęć. Nie wierzyli w zagrożenie ze strony rybaków.

Uczestnicy patrolu, ciągle leżąc, obserwowali powoli oddalający się statek. Nie oddali ani jednego strzału. Pogoń nie wchodziła w rachubę. Zapuszczono silniki i oba kutry ruszyły unosząc ciało Mackiego.

- Oto co nam przyszło z tego, że posłuchaliśmy Klina - rzekł jeden.

- Prawda - zgodził się drugi. - I nie wypłynął z nami. Chytrze został.

- Tak jakby wiedział, co się stanie - dodał trzeci.

Popatrywali na siebie w obydwu łodziach, oddalonych teraz od siebie o jard. Było to milczące porozumienie. Dawno już zastanawiano się, jak Klin mógł utrzymać dom tak blisko hotelu.

- Lepiej wracajmy - rzekł śniady mężczyzna w czerwonej podkoszulce i dzinsach, patrząc na Mackiego. - Cała sprawa z Japońcami i ich ekwipunkiem do wykrywania krabów i tuńczyków... musieli płacić za informacje. Dlatego Klin spędza tu samotnie tak dużo czasu, a teraz znalazł sposób na pozbycie się konkurencji.

Pomruk aprobaty towarzyszył jego słowom.

- Trzeba wrócić, znaleźć Klina i... - warkot silników zagłuszał dalsze słowa. Obydwa kutry zawróciły i pełną parą ruszyły w powrotną drogę.

O milę od brzegu prowadząca łódź skręciła na lewo od rafy. Jest to dość ryzykowna droga dla kogoś, kto nie zna tego obszaru, ponieważ spod wody wystają wierzchołki skał, które mogą uszkodzić dno łodzi. Brant jednak, ów niski mężczyzna, był pewny siebie, a poza tym ta droga ułatwiała powrót do brzegu mimo odpływu. Sternik drugiej łodzi spocił się płynąc za nimi, a potem zwolnił obroty silnika, aby zwiększyć odległość i dać tamtemu czas na zatrzymanie się, gdyby dostrzegł rafę. Usiłował płynąć idealnie po linii tamtego, jak najmniej ryzykując.

Brant mruknął ze zdziwienia, kiedy coś zahaczało o dno łodzi. przesunęli się jednak do przodu. Ledwie odetchnął z ulgą, gdy statek zatrząś się i pochylił na bok tak gwałtownie, że Branta rzuciło na pokład, a na dodatek ktoś z jego załogi wylądował na nim.

Druga łódź wyłączyła silnik, natychmiast rzuciła kotwicę i zatrzymała *się* w bezpiecznej odległości.

- Dupek żołądny - mężczyzna u steru wygrażał pięściami. - Ty cholerny głupcze, Brant. Tylko szaleniiec mógł wybrać się tędy w nocy. Ty...

Wściekłość ustąpiła przerażeniu. Łódź przed nim coraz bardziej przechylała się na bok, a po chwili uniosła się tak, jakby znajdowała się na niewidzialnym dźwigu. Dzięki wrzaski dochodziły z jej pokładu. Brant i załoga, kurczowo uczepieni rufy, szamotali się na próżno szukając oparcia. Luźne przedmioty spadały do wody. Ciało Mackiego zsunęło się z głośnym pluskiem, po czym jeszcze raz pojawiło się na powierzchni i zniknęło, jakby wciągnięte przez potężny wir.

- Patrzcie!

Krzyk przerażenia wydało czterech mężczyzn na widok czegoś, co wydostało się na powierzchnię. Była to ludzka głowa z poszarpanym karkiem i sterczącymi ścięgnami. widzieli ją zaledwie przez moment, zanim nie porwał jej prąd. Mackie miał być pozbawiony nawet godziwego pochówku w morzu.

Wywrócona do góry łódź znowu kołysała się na falach. Dwóch mężczyzn uchwyciło się jej rozpaczliwie, krzycząc głośno. Po kilku sekundach rzucono linę, którą uchwycił już tylko Brant.

Jego krzyk dochodził jakby z wnętrza piekieł i choć palce miał zaciśnięte na linie, ujrzeni jak znika w odmętach, wciągany przez potężną siłę, z którą nie mógł się równać zaden prąd oceaniczny.

- Co się tu do diabła dzieje? - rybak, który rzucił linę, odwrócił się w stronę towarzyszy. - Włączcie silnik i wynośmy się stąd. musieliśmy chyba trafić na gniazdo rekinów. Tylko białe olbrzym mógł tak wyrzucić łódź.

Kiedy mówił, ich własny pokład zaczął się trząść. Człowiek, który uruchamiał maszynę, został ciśnięty na burtę. Przekoziółkował i uderzył tak mocno głową, że leżał już cicho, kompletnie oszołomiony.

Rufa zalana była wodą. Rybacy ruszyli do wiosł. Jednemu udało się schwycić koło ratunkowe i mimo huśtawki przełożyć je jakoś przez głowę.

- Nie bądź głupi - czyjaś ręka złapała go, ale wykręcił się próbując wspiąć się na burtę. Nagłe przechylenie zepchnęło go do wody, nim odważył się skoczyć. Zachłystując się wypłynął i starał się określić położenie skał. Ujrzał postrzępioną sylwetkę oddaloną o dwadzieścia jardów i ruszył w jej stronę. Ledwie udało mu się uczynić kilka ruchów kraulem, kiedy coś

schwyciło go za biodra. Potworny ból trwał krótko, niewiele ponad sekundę. Uwolniony, ruszył na oślep.

Ale coś było z nim nie w porządku, choć nie wiedział co. Czuł jakby odrętwienie, a nogi nie wynurzały się, aby popchnąć go do przodu. W rzeczywistości w ogóle się nie poruszał.

Nagle coś wypłynęło przed nim. Sądził, że to kawałek drewna. Uchwycił się mocno i odepchnął nogami. Nie dało to jednak żadnego rezultatu i wreszcie zobaczył przedmiot, który miał mu pomóc w dotarciu do skały: **l u d z k a n o g a , j e g o w ł a s n a !** Krwawy kikut wciąż obuty był w tenisówkę...

Na szczęście zemdlął zanim ostre szczypcy, które pozbawiły go nogi, zacisnęły mu się na karku i odcięły głowę.

Trzej ocaleni trzymali się teraz wywróconej łodzi. Woda pod nimi pieniała się, tu i ówdzie zabarwiona purpurą.

Wtedy ujrzeli pierwszego z napastników. Para kleszczy, dużo większych niż odrzucona właśnie kotwica, zwała się na przewrócony dziób. Złowieszcze oczy, które ich obserwowały, orientowały się dobrze w sytuacji. Olbrzymi stwór wiedział, że nie utrzymają się dłużej niż kilka sekund i ześlizgnął się tam, gdzie na nich czekał.

- Boże co za ogromny krab!

- Nie, to niemożliwe!

Wszyscy trzej zwolnili uścisk, który był ostatnią nadzieją na ocalenie i uderzyli w kraba z całym impetem. Odbili się od jego grzbietu i wpadli do wody, gdzie las szczypiec rozpoczął rzeź.

Rozdział III

Carolina du Brunner z miłym zaskoczeniem spozjrzała na wchodzącego Klina. Leżała nago na łóżku, ściągawszy bikini, które cały dzień nosiła na plaży. Skóra brązowiała jej równomiernie, z wyjątkiem delikatnej bieli w miejscach osłoniętych przez plażowy strój.

- No, no - zachichotała. - Powrót kochanka. Nie słyszałam pukania.

Zamknęła czasopismo, które właśnie przeglądała i utkwiała oczy w gościu.

- Nie pukałem - Klin oparł się o drzwi, wpatrując się uporczywie w ciemny trójkąt jej włosów. Wiedział już, co oferowały zaciśnięte teraz uda, a to pożądanie nie słabło. Czuł jej spojrzenia, które dłużej zatrzymało się na jego spodenkach.

- Jesteś cholernie pewny siebie - powiedziała. - To, że pozwoliłam ci na cokolwiek zeszłej nocy, nie oznacza jeszcze, że będę rozchyłać nogi, kiedy tylko zechcesz tu zawitać... bez pukania.

- To był najlepszy numer, jaki mógł ci się zdarzyć - zaśmiał się Klin, sadowiąc się na łóżku tuż za nią.

- Jesteś aroganckim, prymitywnym sukinsynem. Nie zapominaj, że miałam trzech mężów.

- Ciągłe jeszcze byłabyś mężatką, gdyby któryś z nich umiał ci tak dogodzić.

Teraz ona wybuchnęła śmiechem, a rozdrażnienie w jej głosie znikło.

- Lubię prymitywnych mężczyzn - jej ręka sięgnęła do

wypukłości pod twardym materiałem szortów. Przez kilka sekund badała jej linię.

Klin ciągle wpatrywał się w jej uda. Rozszerzyły się lekko, nie więcej niż na cal, wystarczająco jednak, by pokazać kawałek różowości spod ciemnych włosów. Czekał, aż otworzą się szerzej, lecz tak się nie stało. Carolina du Brunner nie zamierzała tym razem niczego ułatwiać.

- Lubię duże rzeczy - ciągle patrzyła na erekcję gładząc materiał. - Duże samochody. Duże domy. Dużych mężczyzn. A propos, pewien duży facet wprowadził się dzisiaj. Rozmawiałam z nim już w barze. Przypomina mi ciebie.

- Więc zaprosiłaś go do pokoju.

- Jeszcze nie, chociaż mogę to zrobić. Jest bardzo męski. Myśliwy. Nazywa się Logan. Też lubi duże rzeczy. Poluje na wszystko, co się rusza, a teraz chce dostać rekina, białego olbrzyma. Szuka kogoś, kto zabrałby go na morze. Wspomniałam o tobie.

- Nie zapuszczam się na rekiny - Klin zadrżał, podczas gdy ona wciąż się z nim bawiła. - Nie zaczynam z nimi, dopóki mnie nie atakują.

- Chciałabym tam być - spojrzała na niego. - Chciałabym obserwować pojedynek tego faceta z prawdziwym potworem i nie postawiłabym grosza na żadnego z nich. Tak byłoby. To tego typu facet. Bezwzględny.

- Tak jak ja.

Rozebrała go szybko, dotykając śliskimi palcami nagiego ciała. Chrząknął i rozluźnił się. Gwałtownie ściągnął szorty do kolan, ale nawet to nie zakłóciło rytmu jej palców.

- Poławiacze, wielcy gracze, myśliwi - rysi jej wykrzywiały się kpiąco - wszyscy przychodzą do mnie.

Nagle poczuł zbliżający się szczyt. Ovładnęła go

wściekłość. Uda jej pozostawały ściśle złączone; odmawiała mu tego, czego pragnął, czego najbardziej w tej chwili potrzebował.

- Ty suko! - silną ręką złapał jej nadgarstek i oderwał pieszczące go palce. Lewą ręką uderzyła go w twarz z szybkością atakującego węża morskiego. Zaraz po uderzeniu, unieruchomił jej przegub drugiej ręki. Potem zwinnym ruchem ulokował się na łóżku i uwięził ją pod sobą, dławiąc jej oddech naporem swego ciała. Kolanami rozparł jej nogi. Napierał na nią, wyciskając znaczące westchnienia z jej miękkich, czerwonych ust.

- Mówiłam, że jesteś sukinsyn - wydyszała, odwracając głowę od pocałunków. - Cholera z tobą, puść mnie i wynoś się stąd.

- Na pewno.

- Mogłabym ci za to załatwić pięć lat.

- Może i tak, ale w Teksasie. A tu jest Hayman. Ten hotel jest jedynym cywilizowanym miejscem pośród osiemdziesięciu mil dzikiego łądu. Przebyłaś szmat drogi, żeby mieć w łóżku faceta. Czemu więc u diabła narzekasz?

Jęknęła głośno, kiedy wreszcie wszedł w nią głębiej. Pomimo pokazu niechęci, zauważył z satysfakcją, że jej , vagina przyjęła go, Zwolnił uścisk. Nie próbowała go znów uderzyć. Jego ręce odnalazły jej piersi; ścisnął miękkie ciało, aż sutki poczerwieniały i stwardniały.

Klin rytmicznie poruszał udami, z początku wolno i zdecydowanie, a potem wraz ze wzrostem pożądania coraz szybciej. Powieki kobiety były zamknięte. Oddychała ciężko.

a jej ciało tężało targane dreszczem. Nogi drgały coraz szybciej, a paznokcie raniły mu ramiona i barki. Jeszcze kilka sekund i

zupełnie pogrążyła się w zapamiętaniu; prężyła biodra i lgnęła do niego coraz mocniej, jakby pragnęła, by wszedł w nią jeszcze głębiej.

Poczuł wzrost napięcia. Opanował je na krótko, ale bał się, że może stracić panowanie nad sobą, poddał się więc pożądaniu i napierał coraz mocniej. Tarzali się, kiedy wybuchnął i zamglonymi oczami ujrzał ją, dosiadającą go jak szalejącego mustanga, ciągle utrzymującą się w siodle. W końcu opadła na niego, oddając się teraz delikatnym pieszczotom.

Kiedy opuściło ją napięcie, Carolina zanosła się płaczem. Ciałem jej wstrząsały spazmy,, gdy oparła policzek na jego piersiach.

- Ty sukinsynu - jęknęła. - O Boże, ty sukinsynu, dlaczego to zrobiłeś?

- Ty tego chciałaś i ja tego chciałem - powiedział - i to jest zawsze wystarczający powód.

- Cholera z tobą, chciałam o tobie zapomnieć, Klin
- uniosła się i patrzyła na niego zażawionymi oczyma.
- Zawsze jest tak samo. Obiecałam sobie, że nigdy już nie wyjdę za mąż.

- Nigdy nie miałem zamiaru się żenić - odrzekł z zażenowaniem i lekkim niepokojem w głosie. - W każdym razie nie mam nic do zaoferowania kobiecie, z wyjątkiem małego domku i poniszczonej, starej łodzi, na dodatek podziurawionej przez kule.

- Chryste, ty nie rozumiesz - położyła się obok niego, przygryzając dolną wargę przed ponownym wybuchem płaczu.

Leżeli tak przez całą noc, a kiedy pierwsze promienie słońca zaświeciły przez okno, Klin oderwał się od niej i sięgnął po szorty.

- Naprawdę musisz iść? - zapytała leżąc oparta na łokciu.

- Tak - stał spoglądając na nią z góry. A ona dopiero teraz zauważyła smutek na jego twarzy. - Myślę, że miałaś rację, Carolino. Pewnie lepiej powiodłoby ci się z wielkim myśliwym.

Klin był na plaży krótko przed wschodem słońca. Brodził po złotym piasku sprawdzając kutry, zaniepokojony brakiem obu łodzi patrolowych.

Usiadł i obserwował pierwsze promienie słońca nad Barbercue Bay. Na horyzoncie nie pokazała się żadna łódź. Czuł, że stało się coś strasznego.

Nie wybiła jeszcze siódma, kiedy w studiu profesora Cliffa Davenporta zadzwonił telefon. Ostrożnie podniósł się z łóżka, starając się nie obudzić małej brunetki śpiącej u jego boku. Otworzyła jednak oczy i uniosła głowę.

- Kto to może być o tej porze? - zapytała sennie.

- Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć - rzekł Cliff i ruszył w stronę schodów, nakładając jedwabny szlafrok.

Machinalnie przejechał dłonią po ciemnych włosach i stwierdził, że znacznie się przeredziły, mimo że przekroczył dopiero czterdziestkę. Gdy sięgał po słuchawkę, na twarzy jego pojawiło się napięcie. Przez prawie cztery lata oczekiwał tylko jednego telefonu. Może nigdy nie zadzwoni. Z drugiej strony miał złe przeczucia, dręczyły go koszmarne sny; olbrzymie kraby powróciły, rozpoczęły już inwazję na walijskich wybrzeżach. Mogło się tak stać. Modlił się, by tak nie było, ale mimo to nie mógł opanować drżenia ręki.

bliska obłądu. Szczęśliwie wyszła z tego, nie zamierzał jednak ryzykować następnego ataku.

- Ministerstwo zapewnia tylko jedno miejsce - mruknął.

- Zresztą, wróć najdalej za tydzień. Z pewnością nie ma tam nic ciekawego. Jakiś zawiany rybak pomylił się w świetle księżyca...

- Wiesz, że to nieprawda! - podeszła i wsunęła rękę w jego dłoń. Oczy jej się zaszklily, choć mężnie się uśmiechała.

- Wrócili. Oboje wiedzieliśmy, że kiedyś tak się stanie. Nie martw się, Cliff. Wiem, że nie chcesz mnie wziąć, byłabym tylko przeszkodą. Ale na miłość boską, kochanie, nie zbliżaj się do nich, proszę!

Pochylił głowę, aż usta ich się spotkały, początkowo delikatnie, a potem złączyły się w namiętym pocałunku.

- Cholerne kraby - jego głos był zachrypły. - Będziemy musieli im kiedyś za wszystko odpłacić. Pat, jeśli za każdym razem będą nas rozdzielać. Coś im jednak zawdzięczamy. Gdyby nie one, nigdy byśmy się nie spotkali.

Śmiejąc się, wracali do sypialni.

Klin pozostał na plaży do południa, bezskutecznie wypatrując kutrów. Wstał w końcu i raz jeszcze obejrzał zatokę - przez lornetkę. Ruszył w stronę chat między palmami.

Uszedł kilkaset jardów, minąwszy własny dom, zanim ujrzał przyczepnięty na uboczu biały, jednopiętrowy budynek. Drewniana tablica na uchylonych drzwiach informowała czerwonymi literami, że jest to BIURO PATROLOWANIA REKINÓW.

Wszedł. W biurze znajdował się stół, krzesło, telefon, kilka szafek i metalowy kosz z puszkami po piwie.

z pokoju obok wyszedł Shannon, patrzył spode łba, miał dwudniowy zarost na twarzy.

- Powiniem ci policzyć. Klin za stracony czas patrolu - warknął. - Dwa helikoptery wciąż szukają tych twoich strażników. Już przed siódmą miałem tu najście żon, których mężowie nie wrócili do domów. Wysłałem je, żeby porozmawiały z tobą, ale okazało się, że właśnie od ciebie wracały, nie zastawszy nikogo.

- Wcześniej wyszedłem - mruknął Klin. - Łodzie nie wróciły i...

Przerwała mu radiostacja w drugim pokoju. Shannon zniknął w drzwiach, a Klin słuchał głosu oficera bardzo zaniepokojony. Po

kilku minutach szef patroli wrócił.

- Moi chłopcy znaleźli łódzie - westchnął. - Wywrócone i wywleczone z zatoki. Ani śladu po rybakach.

- Ci pieprzeni Japońcy - Klin opadł na najbliższe krzesło.

- Teraz już naprawdę trzeba coś z nimi zrobić, Shannon.

- Skąd pewność, że to kłusownicy?

- To jasne. Łódzie nie wywracają się tak bez powodu. A już na pewno nie obie naraz.

- To wciąż nie wskazuje na kłusowników. Mogli je ostrzelać, ale diabelnie ciężko byłoby im je wyrzucić. Nie, to nie tak.

- Coś tam musi być - Klin nerwowo szarpał brodę. - Jest tylko jeden potwór zdolny do tego - biały olbrzym.

- Nie ma tu ani jednego. Patrolujemy codziennie wody aż do Mackay i Prosperine, a potem z powrotem dookoła każdej wyspy, jak dobrze wiesz. Ostatnio widziałem białego olbrzyma sześć tygodni temu; a podązał na północ.

- Chyba, że... - oczy Klina zwęziły się. Obraz gigantycznego, koszmarnego kształtu z rafy koralowej wrócił. Stwór większy od konia, sto razy silniejszy od białego olbrzyma.

- Chyba, że co? - spytał Shannon.

Klin milczał przez chwilę, zastanawiając się czy powinien go wtajemniczyć. Corder wiedział, wiedziała jego gazeta, władze australijskie też. Wkrótce dowiedzą się wszyscy.

- Słuchaj - powiedział. - Niedługo zostaniesz oficjalnie poinformowany, że istnieje stwór o wiele groźniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek żyło w oceanie.

- - Cholera, Klin - Shannon walnęła pięścią w stół ze zniecierpliwieniem. - Jak już mówiłem, marnujemy czas patroli. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż...

- Zamknij się! - warknął Klin i twarz mu stężała.

- Słyszałeś o olbrzymich krabach, które pojawiły się w Walii i...

- To cholernie zabawne - parsknął Shannon. - Słyszałem o jednym potworze z Loch Ness, którego istnienia usiłuje dowieść banda pomyleńców.

- Tylko, że te kraby istnieją - rozżościł się Klin. - Wiem, bo widziałem jednego na rafie zeszłej nocy.

- Ty masz naprawdę nieźle popieprzone.

- Czyżby? Corder już zadzwonił do redakcji i...

- Corder! On postraszyłby nawet inwazją mrówek, gdyby napotkał kilka na drodze. To największy śmierdziel jakiego znam.

Radio znów się odezwało i Shannon wyszedł z pokoju.

- Co! - krzyknął z niedowierzaniem. - Gdzie? Jesteś pewny? Dobra, niech jeden z was tam zostanie, a drugi niech wraca natychmiast tutaj.

Wrócił do biura.

- Zwracam honor, Klin - powiedział. - O ile oczywiście Riordan i Johnson nie poszaleli. Te kraby, o których mówiłeś, znaleźli u wyjścia z zatoki, kiedy wyruszały w morze. Utrzymują, że to kraby bez pudła, tak duże jak słonie. Jeden helikopter poleci za nimi, a drugi wraca tutaj. Sądzę, że się przelecimy.

Klin milczał. Wiedział już na pewno, choć nieprzyjemnie było stwierdzić, że jego najgorsze przeczucia się sprawdziły. Nie miał wątpliwości, jak zginęły załogi obu łodzi. Shannon otworzył dwa piwa o podał jedno Klinowi.

- Helikopter powinien pojawić się za kwadrans - powiedział. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej.

Riordan wylądował na placu za budynkiem po dwunastu minutach. Śmigło pracowało na najwyższych obrotach i kiedy wsiedli, Shannon zauważył trupio bladą twarz pilota. Jego dłonie wyraźnie drżały na drążkach sterowniczych.

- Chryste, powinniście je byli widzieć - wymamrotał.

- Tego właśnie chcemy - odparł Shannon. - A nie uda nam się, jeśli zostaniemy tu słuchając twojego bełkotu, Riordan.

Helikopter wystartował natychmiast, wznosząc się ponad palmy i zatłoczoną plażę, by ponownie obniżyć lot do wysokości pięćdziesięciu stóp nad wodą. Klin spojrział w dół. Wiele razy latał z patrolem, lecz surowe dostojenie głębiny nigdy nie przestało go oczarowywać. Wyglądało tak, jakby morze wyparowało, a oni lecieli teraz nad jałową pustynią, koralowymi dolinami i kanionami, kaktusami i bajecznie kolorowymi ptakami, które były podobne do ryb.

Żaden z nich się nie odzywał. Wpatrywali się tylko w wodę, bojąc się tego, co powinni zobaczyć.,

Shannon spojrział na zegarek i zmarszczył czoło. Potrząsnął Riordana za ramię.

- Lecimy już dwadzieścia minut - krzyknął, żeby było słychać mimo warkotu silników. - Dokąd u diabła poleciał Johnson?

- Trzymamy się kursu - odparł pilot nie odwracając głowy.

- Połącz się z nim przez radio - rozkazał Shannon. - Krab nie porusza się tak szybko. Nawet ten o wielkości słonia.

Riordan kiwnął głową i począł manipulować radiem. Po kilku próbach zaprzestał i spróbował inaczej. Krew odpłynęła mu z twarzy i nerwowo przesuwiał językiem po spierzchniętych wargach.

- Ani słychu - powiedział. - Musi mieć uszkodzony odbiornik. -

Klin i Shannon spojrzeli na siebie i dowódca znów potrząsnął pilotą.

- Nie możemy lecieć tak daleko. Zrób okrążenie i może złapiemy go w ten sposób.

Riordan zatoczył szerokie koło zwiększając wysokość. Minął grupę wysepek koralowych. Shannon i Klin mieli utkwione oczy w wodzie. Tylko tam, gdzie było bardzo głęboko, nie widzieli dna. Nie było ani śladu wielkich krabów, ani helikoptera.

- Oblęd - szepnął Shannon - popadamy w oblęd z każdą chwilą. Myślę, że lepiej będzie wrócić do bazy. To ostatnie miejsce, w którym chciałbym utknąć z braku paliwa.

wylądowali i wysiedli w milczeniu. Shannon sprawdził czas. Lecieli prawie godzinę.

- Zatakuj i bądź w pogotowiu - rzekł do pilota. - Może znowu trzeba będzie polecieć.

Kiedy weszli do biura, zwrócił się do Klina:

- w porządku. Mam dość argumentów, by uwierzyć, że te kraby istnieją. Ale małe czy duże, kraby nie umieją latać. Może tu mamy do czynienia z węzami morskimi, które odżywiają się helikopterami.

- Nie sądzę - odparł Klin. - Ale mogło się wydarzyć wszystko. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli silnik zepsuje się nad wodą, to więcej niż pewne, że zjedzą cię rekiny na kolację. A jeżeli to kraby, twoje szanse będą jeszcze mniejsze.

W tym momencie odezwało się radio i Klin wszedł teraz razem z oficerem.

Były to informacje od władz patrolowych z Townsville. Shannon słuchał prawie pięć minut.

- No, i...? - spytał Klin, gdy radio umilkło.

- Przez dziesięć lat - rzekł Shannon - musiałem się martwić tylko z powodu rekinów. Szukałem ich, badałem ich szlaki i wysyłałem ostrzeżenia. Teraz w ciągu jednej nocy potwory, które w ogóle nie powinny istnieć, weszły na moje podwórko. Widziały je rano dwa różne patrole. Jeden nieopodal Whitsunday, a drugi o dwie mile na wschód od Lindeman, no i u nas, w Hayman. Zaginęły dwie łodzie, jeden helikopter, siedmiu rybaków i pilot. Rząd podjął natychmiastową akcję, wysyłając nam niszczyciele i łodzie podwodne. A ja mam latać w kółko cały dzień i szukać wyrosniętych krabów. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, zawsze chciałem polować na kangury. Mój stary jednak się nie zgadzał.

- Chłopcze - mawiał - wszystko, co będziesz robił,

powinno być bezpieczne; najlepsza jest ciepła posadka z regularną pensją. Nie znajdziesz lepszej pracy niż patrolowanie rekinów. Mój stary miał mnóstwo doświadczeń z rekinami; stracił przez nie nogę na Bondi Beach.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, będę w hotelu - Klin - ruszył w stronę drzwi.

Kiedy dotarł do brzegu, ujrzał grupę mężczyzn, którzy przygotowywali się do wyjścia w morze. Rozpoznawał kilku z tych, co zgłaszali się na ochotnika do patroli. Teraz zamierzali odszukać kolegów. chciął ich zatrzymać, ale wiedział, że go nie posłuchają. Poszedł dalej.

Wszedł do hotelu i wjechał windą na piętro, gdzie mieszkał Corder.

Rozdział IV

Kapitan japońskiego trawlera był bardzo zadowolony z nocnej wyprawy. Znaleźli wielką kolonię krabów, zarzucali sieci dwa razy ze wspaniałym rezultatem. Rozkazał sternikowi, aby zawrócił, bo chciał ponowić próbę. Zajmie to zaledwie godzinę, ale będzie się opłacało, nawet wtedy, gdyby łup nie był najobfitszy.

Zarzucono sieci i włączono silnik. Kapitan zszedł pod pokład, aby obserwować urządzenie lokalizujące ławice tuńczyków i krabów. Cała ta przemysłna aparatura zawsze go zadziwiała.

Oprócz krabów były tu także królewskie dwunastocalowe krewetki i całe mrowie tuńczyków. Nie segregowali

ich. Jeśli kilka kutrów pracowało razem, wówczas linia połowu ciągnęła się nawet przez pięćdziesiąt mil. Na całej powierzchni umieszczono także plastikowe pływaki, zakotwiczone w regularnych odległościach, na których co sześćdziesiąt stóp znajdowały się liny. Ta kombinacja nie pozwalała zdobyczy umknąć. Znaki wysyłane przez radiolatarne informowały statek macierzysty o tym, co działo się pod wodą, a wyniki rejestrowano natychmiast.

Kapitan kłusowniczej łodzi pomrukiwał z zadowoleniem, słuchając sygnałów z odbiornika. Bardziej opłacało się pracować pojedynczymi łodziami, niż formować flotyllę.

Aparat wciąż nadawał, a ciężka sieć powoli wlokła się pod wodą. Mieli wiele krabów, głównie błotnych, z Queens-land. Zapalił cygaro i usiadł przed nadajnikiem. Nie było dzisiaj żadnych problemów z tubylcami - dostali dobrą szkołę. Władze będą na pewno interweniować w Tokio. Potem ogłoszą nowe przepisy, ale nikt nie będzie ich rygorystycznie przestrzegał. Japończycy nie zamierzali tracić takiego źródła dochodu, a Australia bała się międzynarodowego konfliktu. Nielegalne połowy będą kontynuowane.

Pół godziny później usłyszał jak rzucono kotwicę i zabierano się do wciągania sieci. Zgasił cygaro i wyszedł na pokład.

Trał był ciężki, a łup znacznie większy niż sądził. Z lekkim uśmiechem wyciągnął z kieszeni kolejne cygaro i ostrożnie je zapalił. Ludzie pracowali sprawnie, chcąc szybko rozładować ostatnią sieć i odpocząć. Nie chcieli nowej strzelaniny, mimo że posiadali oczywistą przewagę na tych wodach. Ich człowiek zginął. Miał pecha, został zabity przez pojedynczy strzał, ale to był fakt i mogło się to przydarzyć każdemu.

Nagle ktoś krzyknął i kapitan podbiegł do sieci.

- O co chodzi? - warknął.

Kłusownicy odsunęli się od stosu krabów, które właśnie wyciągnęli na pokład.

- Proszę spojrzeć - wymamrotał jeden. - Nigdy nie złapaliśmy takiego bydlaka.

Szyper ze zdumieniem wpatrywał się przy jasnym świetle lampy w złowionego kraba. Głośno łapał powietrze. Stwór mierzył chyba ze cztery stopy, a szczypec miał wielkości dźwigu. Napotkał jego wzrok, w którym nie było strachu, a przeciwnie - pogarda.

- Potwór - mruknął kapitan. - Prawdziwa gratka. Jest

warty dziesięć razy więcej niż zwykły krab.

Stwór syczał groźnie, jakby rozumiał sens jego słów. Kleszcze poruszały się w górze:

K L I K - K L A K . K L I K - K L A K .

nieruchomo wpatrywał się w kapitana, jakby uważał go za sprawcę swego położenia

- To diabeł we własnej osobie wypłynął z głębi - obwieścił jeden z kłusowników cofając się.

- Głupcze - kapitan warknął ze złością. - To po prostu nowy gatunek.

A olbrzym krab przesuwiał się depcząc mniejszych krewniaków, jakby nie zauważał ich obecności.

K L I K - K L A K , K L I K - K L A K .

Nie spieszył się. każdy jego ruch sugerował, że posiada inteligencję daleko *wyższą* niż reszta mieszkańców morza. Nie był więźniem: przybył na pokład przypadkowo i najwyraźniej zamierzał ukarać tych, którzy ośmielili się wyciągnąć go z toni.

Mężczyźni rozbiegli się, zostawiając kapitana samego. Sięgnął więc po swój automatyczny pistolet kalibru 45. Nie mógł pozwolić sobie na wahanie i utratę twarzy przed załogą - wykorzystaliby to. uzurpując sobie prawo do zwierzchnictwa.

Krab znajdował się teraz zaledwie dwa jardy od niego. Lewą ręką kapitan podtrzymał pistolet. Odbezpieczył go w jednej chwili i wycelował prosto między błyszczące ślepia. Nawet ten wyrośnięty potwór nie ma szans na ocalenie, pomyślał z satysfakcją i nacisnął spust.

Huk był ogłuszający . Ogarnięty szaleństwem strzelał i strzelał, aż wyczerpał cały magazynek.

I wtedy dopiero przerwał by ocenić rezultat.

Krab ciągle żył. Nie poruszy się ani nie wycofał. Po prostu tkwił tam, pozwalając mu naładować pistolet ponownie.

- Nie! - jęknął z niedowierzaniem i przerażeniem - To

niemożliwe. Niech szybko jeden z was- poda strzelbę!

Stwór, jakby rozumiejąc rozkaz, począł posuwać się do przodu z tym samym monotonnym dźwiękiem. Dzielił ich już tylko jard i nawet rzucony pistolet nie mógł go powstrzymać.

- Strzelba! - krzyknął jeszcze raz i zawył nagle, gdy monstrualne kleszcze, wysuwając się z niewiarygodną szybkością, zacisnęły się na jego nadgarstku. Obserwujących sparaliżował strach. Usłyszeli trzask pękających kości, a zaraz potem głuchy odgłos spadającej ręki. Ich szyper zatoczył się nagle obficie krwawiąc kikutem, potknął się o zwój i upadł, uderzając głową o pokład, zaledwie kilka cali od zakrwawionych kleszczy. Poczul cuchnący oddech bestii.

Mężczyźni dopiero teraz wyrwali się z odrętwienia. Ruszyli w panice po strzelby. Ktoś znalazł siekiere i z całej siły uderzył w pancerz kraba. Uderzenie jednak zadrasnęło napastnika, a silny wstrząs sprawił, że marynarzowi siekiera wyleciała z ręki i wpadła do wody.

Dwóch ludzi wróciło ze strzelbami, ale nie mogli strzelać, bo krab przygniótł kapitana. Jego odnóża oplatały go mocno, a kleszcze z chirurgiczną wprawą dokonywały amputacji kolejnych kończyn.

Załoga, całkowicie bezradna, patrzyła z przerażeniem na to krwawe widowisko. Przypominało ono ucztę pająka, który długo i metodycznie pastwi się nad złapaną w sieci ofiarą.

Z oderwanego nadgarstka ciągle tryskała krew. Jasnoczerwona fontanna spryskiwała kraba; całe zdarzenie stawało się coraz bardziej upiorne. Kleszcze bez wysiłku odszukały staw barkowy i z głośnym chrzęstem odcięły po kolei ramiona.

Mężczyzna krzyczał i szlochał histerycznie, bo okrutnym zrządzeniem losu ciągle był przytomny. Krew spływała po

pokładzie, ale nikt już nie próbował strzelać. Ludzie stali przerażeni, z wytrzeszczonymi oczyma, bojąc się zemsty potwora.

Krab manewrował szczypcami z niezwykłą łatwością, utrzymując stale pionową pozycję. Rybak, który stał najbliżej, uchwycił grymas na jego pysku i z wrażenia zasłonił oczy rękami. Wydawało się, że krab pomrukiwał złowieszczo, pewny zwycięstwa.

Przesunął się trochę, nie więcej niż o jard, wlokąc za sobą ofiarę. Odcięte kończyny drgały jeszcze.

Załoga usiłowała dojrzeć twarz kapitana. Nie wiedzieli, czy jeszcze żyje. Krab tak zafascynował widzów, że życie dowódcy stało się im w tej chwili prawie obojętne.

Było to nie tylko okrucieństwo fizyczne: to *wrócił* legendarny, starożytny żeglarz w nowym wcieleniu, aby publicznie dokonać zemsty.

Krab kontynuował dzieło; szczypce dotarły teraz do wnętrzości ofiary rozrywając je z wyraźnym upodobaniem.

Strzał, który rozległ się nagle, przerwał hipnotyczne zapatrzenie przykuwając ludzi do desek pokładu. Zapanało poruszenie, choć stwór nawet nie zareagował i dalej łapczywie pożerał ludzkie mięso.

Podniosły się krzyki. Ten, który wystrzelił, ładował znowu i strzelił, póki nie wyczerpał całego zapasu naboju. Odezwały się i inne strzelby, ale żadna z kul nie uszkodziła kraba. Wkrótce zapomniano o nim prawie, bo oto za nimi, posuwając się od rufy zawieszanej linami holowniczymi, pojawiło się conajmniej kilkanaście nowych, czterokrotnie większych niż **pierwszy!**

K L I K - K L A K , K L I K - K L A K . Atak był błyskawiczny, pozbawiony powolności albo niezręczności. Kule, odbijając się, nie czyniły krabom żadnej szkody.

Mężczyźni ze strzelbami padli pierwsi, a reszta, nie czekając na śmierć, rzuciła się do ucieczki. Kraby jednak były już wszędzie.

dwóch kłusowników wyskoczyło za burtę,. Obydwaj byli dobrymi pływakami, ale żadnemu nie udało się dotrzeć do brzegu. Stopniowo krzyki na pokładzie zamierały. Jedynym odgłosem był chrzęst szczypiec.

Następnego ranka o świcie, wchodzący do zatoki australijski niszczyciel odnalazł dryfujący trawler. Pokład pokryty był zakrzepłą krwią. Nie było śladu po załodze, oprócz wyrwanego palca wskazującego, który utknął w potrząskanym cynglu strzelby.

- Żadna żywa istota nie ujdzie przed moim ekspresem 500 - mówił Harvey Logan i dodał: - We właściwych rękach, oczywiście.

Carolina du Brunner zmierzyła go orzechowymi oczami, które doskonale wiedziały, czego szukać u mężczyzny. Opalone w afrykańskich stepach ciało, utrzymywało swoją tonację dzięki lampom kwarcowym w hotelach na całym świecie. Pobyt na Hayman jeszcze opaleniznę udoskonali. Rzadkie, złotawe włosy falowały lekko. Podejrzewała, że miał trwałą ondulację. Wąsy i pielęgnowana kozia bródka dodawały jego rysom pewnej oryginalności, którą myśliwy akcentował wszędzie tam, gdzie przebywał.

Jednak potężne ciało nie miało w sobie nic sztucznego. Szerokie ramiona i pulsujące bicepsy skrywała drelichowa koszula. Zerknęła na uda i nogi opięte w białych, bawełnianych letnich spodniach. Nie zauważyła oznak podniecenia, ale było jeszcze dużo czasu. Większość jej romansów zaczynała się w barach luksusowych hoteli i wiedziała z doświadczenia, że wstępna gra zwykle się przeciąga. Dzisiaj ona polowała. Logan miał być ofiarą.

Hotelowe **pomieszczenia** dla **gości** były wielkie i bogate. Sala, w której oboje **siedzieli**, miała estradę i orkiestrę z jednej strony, a drugą zajmowało olbrzymie okno wychodzące na zatokę. Przy legającym do niej salon był wygodniejszy', ale Carolina wybrała przepych. Nachyliła się tak swobodnie, że jej towarzysz mógł z łatwością zajrzeć w głęboki dekolt jej zielonej, wieczorowej sukni.

- Jestem tu już od sześciu tygodni, a dziś po raz pierwszy widzę pustą zatokę - wskazała na bezkres błękitnej, opromienionej zachodzącym słońcem wody. - Nikt się nie kąpie; ledwie garstka kutrów wypłynęła, a i na plaży trudno kogoś dojrzeć.

- Wszyscy boją się tych cholernych krabów - parsknął Logan, biorąc następną wódkę z sokiem cytrynowym. - To jakaś bzdura, jeśli chcesz wiedzieć. Administracja którejś z wysp oddalonych stąd o setki mil rozpuszcza te pogłoski, żeby odciągnąć z Hayman turystów.

- Nie wierzysz więc w tę historię?

- Do diabła! Uwierzę, jak zobaczę kraba. Do tego czasu będę się zajmował polowaniem na białego olbrzymia. Czy nie ma na wyspie nikogo, kto zabrałby mnie ze sobą?

- **Klin jest najlepszy - powiedziała**

- I trzęsie portkami jak cała reszta wyspiarzy.

- Nie - zaczerwieniła się lekko i zaczęła się bawić serwetą. - On się nic boi. Jest tylko uparty. Jeżeli ktoś mu się nie spodoba, nie weźmie ~~go~~ nawet za milion docłów.

- No, mnie na pewno nie polubił - warknął Logan. - To on pierwszy zaczął opowiadać te bajki. Powiedziałem mu to. Arogancki sukinsyn. Dwa przewrócone kutry i helikopter, który z uszkodzonym silnikiem wylądował na morzu - to wszystko! A on robi z tego horror i w konsekwencji wyludnia plażę.

- Widzisz tego faceta? - Carolina wskazała głową na mężczyznę, który siedział niedaleko, towarzyszył mu Corder.

- On wie o tych krabach więcej niż ktokolwiek. Prowadzi badania na zlecenie brytyjskiego i australijskiego rządu

- przyleciał dziś po południu z Mackay. To profesor Clifford Davenport z Londynu.

- Mówiłem - Logan wysuszył drinka i rozejrzał się po sali szukając kelnerki. - Jeśli takie rzeczy tu się dzieją, to nie wyjadę póki nie zdobędę pary szczypiec. Kiedyś upolowałem wodnego bawołu z odległości dwustu jardów przy pomocy mojego ekspresu, a to o wiele trudniejsze.

- chodź do mnie na drinka - przerwała niedbale, starannie maskując lekkie zdenerwowanie, którego nie mogła opanować od pół godziny. Nigdy nie potrafiła zapanować nad napięciem towarzyszącym jej w trakcie pierwszego spotkania.

- Zgoda - wstał odsuwając krzesło. - Prowadź.

odetchnęła z ulgą i poczęła przesuwać się między stolikami. Harvey Logan wciąż jeszcze był zwierzyną, a ona była bliska ustrzelenia go.

Usiedli na bujających fotelach, z których mieli rozległy widok na zatokę Barbecue. Carolina zajmowała najlepszy hotelowy pokój, płacąc za niego tysiąc dolarów tygodniowo. Ale na razie nie zamierzała stąd wyjeżdżać, i to nie tylko z powodu olbrzymich krabów.

Znów spoglądała na spodnie mężczyzny. Była rozdrażniona, że traci na to aż tyle czasu.

Wróciła z trzecią koleją wódki i usiadła mu na kolanach. Starła się, aby odniósł wrażenie, że zrobiła to zupełnie przypadkowo, tak jak czyni to każda kobieta po wypiciu pięciu czy sześciu podwójnych wódek. Odsunęła przeszką-

dzające drinki. Objęła go za szyję i zaczęła skubać kozią bródkę, opierając się biustem o jego piersi. Miała nadzieję, że zauważy ostrość sutek.

- Szkoda, że nie pojawiłeś się tutaj kilka tygodni wcześniej; jestem ostatnio bardzo samotna, Harvey - mruzczała, przesuwając ustami po jego wargach. - Nie ma wielu prawdziwych mężczyzn w dzisiejszych czasach.

Jego rozszerzone źrenice podobne były przez krótką chwilę do spojrzenia kozła, złapanego przez lwicę. Przerazenie po chwili ustąpiło i już oddawał jej pocałunki.

Po dziesięciu sekundach rozczarowała się jednak zupełnie. Nie uczynił nic więcej oprócz tego, że przycisnął swoje nabrzmiałe wargi do jej ust. Gdy wysunęła język, napotkała barierę. Zadowolnić się więc musiała przelotnym, młodzieńcym muśnięciem.

sięgnęła do spodni; rozsuwała zamek niedostrzegalnym ruchem, jakby tylko zmieniała pozycję. Nie wyczuła erekcji. Zaklęła w duchu.

Po chwili położyła jego wielką dłoń na piersi. Miała już prawie rozpięty zamek. Zignorował jej zabiegi i zaczął ścisnąć miękkie ciało przez delikatny materiał. Jego dłonie były silne, o wiele za silne, - z całkowicie nieopanowaną sztuką pieszczot. W pewnym momencie ledwie nie krzyknęła.

W końcu sama uwolniła się z ubioru, ściągając biustonosz i stanęła przed nim naga. Poczuła się trochę lepiej, kiedy ugniatał jej sutki, choć zdawało się, że nie wiedział zbyt dużo o kobiecych sferach erogennych.

Lekko pocieszyła się, gdy znacznie później zauważyła jego podniecenie. Ledwie wyczuwała narastającą wypukłość.

Rozpięła powoli spodnie i namacała pulsujące ciało, jednocześnie próbując podniecić go namiętym pocałun-

kiem. Naprężył się teraz i napierał na nią, aby spowodować szybsze ruchy jej ręki. Zamknęła oczy i sfrustrowana westchnęła. Jemu zaś zdawało się, że usłyszał jęk rozkoszy.

- Weź mnie do łóżka, Harvey - jęczała. - O Boże, weź mnie!

Wielki myśliwy był gotów. Poznała to po trzęsących się rękach, kiedy ściągał z siebie ubranie i po rozbieganych oczach.

Rzuciła się na łóżko szeroko rozwierając nogi. Zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Wyobrażała sobie, że leżący na niej mężczyzna jest wysokim, śniadym brunetem.

Jej fantazje skończyły się bardzo szybko. Rozwarła nogi jeszcze bardziej, aż poczuła ból. Jęknęła, kiedy w nią wreszcie wszedł. Był za wysoko i napierał tak, jakby zamierzał wywiercić otwór. Wsunęła rękę między ich ściśnięte ciała próbując mu pomóc. W tym samym momencie Harvey zaczął się trząść i wrywając się z jej objęć, stracił swój upragniony cel. Carolina krzyknęła głośno, nie ukrywając tym razem rozczarowania. Leżeli obok siebie, a Harvey był wyraźnie zażenowany.

- Nic się nie stało - mimo wszystko chciała jeszcze ratować sytuację. - Możemy za chwilę znowu spróbować.

Usiadł kręcąc głową i sięgnął po ubranie. Leżała obserwując go i odezwała się dopiero, kiedy był już przy drzwiach.

- Idź i upoluj dla mnie jednego z tych olbrzymów, Harvey.

Trzasnął drzwiami wychodząc. Zanim jego kroki ucichały zupełnie, dotknęła palcami miejsca, które opuścił.

Znów przywoływała obraz wysokiego, surowego mężczyzny w krótkich szortach.

Corder uważnie obserwował profesora Davenporta przy stole. Był zdziwiony ujrawszy pierwszy raz znawcę fauny

oceanicznej. Spodziewał się starszego pana o wyglądzie naukowca, a facet który siedział teraz naprzeciw niego, był bystry, oblatany, no i kłął tak płynnie jak on sam. Zauważył z rozbawieniem, że obejrzał się za Caroliną i Harveyem Loganem.

- To Carolina du Brunner - mruknął Davenport, kiedy oni nie mogli go usłyszeć.

- Zna ją pan? - reporter uniósł brwi.

- A kto jej nie zna? Jej zdjęcia zamieszczają wszystkie gazety z okazji kolejnych rozwodów i zaraz potem, kiedy znajdzie kogoś nowego. Ale co ona tu robi?

- Głównie się puszcza. Stawiam miesięczną gażę, że sprawdza teraz, czy Harvey Logan jest dobrym strzelcem.

- A co on tu robi? Nie ma nic ciekawego na Hayman. A w każdym razie nie dla takich jak on.

- Bezskutecznie szuka kogoś, kto popłynąłby z nim na białego olbrzyma. Są dwa wyjścia: albo nie ma tu rekina, albo żaden rybak go nie zabierze. Myślę, że w końcu zainteresuje się naszymi krabami.

- Potrzeba nam czegoś więcej, żeby je powstrzymać

- rzekł Davenport. - Nie mogliśmy ich pokonać czołgami Churchilla.

Podnieśli głowy, kiedy zawisł nad nimi czyjś cień.

- Przepraszam za spóźnienie - Klin przysunął krzesło.

- Dopiero wysiadłem z helikoptera.

- Coś nowego? Davenport spojrzał na mężczyznę, z którego pomocy miał korzystać. Był zadowolony, że udało się pominąć wstępną grzeczności.

- Kraby są tu - Klin nalał sobie. - Niszczyciel odnalazł japoński trawler. Załogi brak, jedyny ślad to palec.

- Więc to napewno one - Cliff pokiwał smutno głową. - I nie zmieniły swoich zwyczajów. Najgorsze, że to nie tylko problem ich unicestwienia. Musimy je jeszcze znaleźć. Było

to wystarczająco trudne w Cardigen Bay, a co dopiero na osiemdziesięciu tysiącach mil Wielkiej Rafy Koralowej.

Rozdział V

- Cliff Davenport nalał sobie następnego drinka i spojrział na Klina i Cordera.

- Będzie lepiej, jeśli teraz zapoznam panów ze zwyczajami naszych morderczych krabów - powiedział. - Dobrze jest wiedzieć, z czym się walczy. Wczoraj odbyłem naradę z dowództwem australijskiej marynarki. Niszczyciele i łódź podwodna są w pogotowiu, lecz nie zawsze będą mogły dotrzeć do miejsc akcji. Może będziemy zdani tylko na własne siły.

- dopóki nie spryska pan Barbecue Bay swoimi środkami - burknął Klin.

- Spokojnie - zaśmiał się Davenport. - Nie ma obawy. Zapomina pan, że kiedy użyliśmy tego w Bartmouth, kraby były na lądzie. Myślę, że teraz należałoby poszukać innych sposobów. Czekam na propozycje. Przypuszczam, że pojawienie się tych krabów jest bezpośrednim skutkiem podwodnych eksplozji nuklearnych. Mówię - przypuszczam - bo nie mamy na to żadnych dowodów. Może przyczyna jest zupełnie inna. W każdym razie ciągle znajdują się one w wodach oceanu i należy się ich pozbyć jak najszybciej.

- Myślę, że najbliższym naturalnym krewnym tego potwora będzie krab z Pływających Raf, występujący koło wyspy Hero. Może to nawet ten sam gatunek, tylko znacznie większy. Przypuśćmy, że tak jest. Tamten z Raf

jest bardzo agresywny. Napotkawszy człowieka, natychmiast wysuwa szczypce. Jednak zaraz potem ucieka. Nasze potwory natomiast ćwiartują ich i są wciąż nienasycone. Jeśli więc rzeczywiście pochodzą od tamtych, to przejęły najbardziej sadystyczne instynkty.

- Jak wicie kraby przejawiają największą aktywność w czasie pełni. Wtedy się rozmnażają. Samce unoszą na sobie samice i te składają jaja. Robią to w czasie odpływu, by fala zabrała jaja.

- Teraz mamy pełnię, może więc się trochę uspokoją, chociaż i tak może się zdarzyć jakiś samotnik, który zechce zapolować na ludzi.

- Zdaje się, że przede wszystkim powinienem przeszukać wody Hayman, aby się upewnić o ich obecności.

- I chce pan się z kimś zabrać? - Klin uśmiechnął się z dumą.

- O to chodzi - odparł profesor. - Ale proszę się nie przejmować. Nurkowałem już wiele razy i zdaję sobie sprawę, że zagrożenie ze strony rekinów i węży morskich jest poważne. Znam ryzyko, ale nie zlokalizujemy krabów bez jego podjęcia.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Klin.

- Jutro rano. Załatwię niszczyciela, aby nas na wszelki wypadek ochraniał.

Wysoki mężczyzna skinął głową.

- Chciałbym się przyłączyć - rzekł Corder - poczekam jednak w łodzi.

spojrzeli obaj na niego i Davenport się uśmiechnął.

- Myślę, że to nie będzie niebezpieczne - odsunął krzesło.

- Teraz muszę nadrobić brak snu. Spotkamy się o siódmej rano

na przed śniadaniowej kąpieli.

- Tu go widziałem - Klin zwolnił łódź i wskazał na rafę koralową o sto jardów na prawo od nich.

- Miejsce dobre jak każde inne na początek - Davenport miał na sobie czarny, wodoodporny kombinezon i maskę. Klin założył podobny kostium, ale w czerwonym kolorze, Corder siedział na rufie w podkoszulku i szortach i nie zamierzał im towarzyszyć.

Klin wyłączył silnik i rzucił kotwicę. W niewielkiej odległości zatrzymał się niszczyciel.

- Proszę się nie oddalać - rzekł Klin do profesora. - Nie zjawiają się tu rekiny, bo jest tu siedlisko węzów, a na ich jad nie ma lekarstwa.

Davenport wzdrygnął się. Przyjął już do wiadomości i zrozumiał istnienie krabów. Od dzieciństwa bał się jednak węży. Te morskie, napawały go jeszcze większym przerażeniem. Próbował o nich nie myśleć.

Sprawdzili butle tlenowe i Klin skoczył pierwszy. Davenport zanurkował lekko się ociągając. Dno można było łatwo dojrzeć i zbadać nawet z łodzi. Marnowali więc tylko czas. Ale wiedział, że znaleźć cokolwiek mogli jedynie między skałami lub w podwodnych grotach.

Zanurkował, starając się nie zgubić z oczu Klina. Zauważył z mieszanymi uczuciami, że rybak trzyma w ręku metalowy pręt, zabezpieczający przed nagłym atakiem. Potraktował to jako specjalne ostrzeżenie przed czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem.

Dotarli do dna w ciągu sekund i płynęli teraz trochę wyżej, wypatrując grot i zakamarków.

Bez trudności trafili na nagły uskok i znaleźli się na poziomie, gdzie woda przybrała ciemniejszy odcień, który

ograniczał widoczność. Davenport doświadczył owego dziwnego uczucia nieważkości, dzięki któremu mógł wznosić się i opadać swobodnie jak ptak. Przypominał sobie dawne czasy. Oszałamiające. Ostatnim razem prowadził poszukiwania u walijskich wybrzeży cztery lata temu. Tropił tak samo jak teraz. Obraz wielkiej groty powrócił. Odnaleźli wtedy kryjówkę krabów. Tutaj, w zatoce, było to po prostu przerażające. Zdecydował się przecieź, choć chciał jak najszybciej wracać do domu, do Pat.

Między wzgórzami koralowymi natrafili na ławicę małych rybek, które zupełnie nie przestraszone, zrobiły im przejście. Większe okazy oglądały ich z zaciekawieniem i odpływały.

Mijali setki wielkich ryb. Niebiesko nakrapiane pstrągi, a obok płastugi w pionowe, brązowe i czarne paski. Tęczowe barwy: żółcie, zielenie, brązy, pomarańcze... Każdy, dziwny nawet kształt, miał prawo bytu w rezydencjach koralowych raf. Podwodny świat zadziwiony był teraz tylko obecnością tych dwóch intruzów.

Zatrzymali się, by popatrzeć na mieszkańców dna oceanu. Były tu morskie robaki, polipy, rozgwiazdy, strugi i mięczaki.

Davenport zeszytniał, gdy wielki krab wychynął zza skały, ale okazał się zupełnie niegroźny.

Klin wskazał otwór w skale, wystarczająco szeroki, by mogli się przez niego prześlizgnąć. Prawdopodobnie była to ukryta grotka albo wielka nisza. Należało to zbadać. Klin płynął przodem oświetlając drogę latarką, gdyż nie docierały tu już promienie słoneczne.

W ciemności ławice drobnicy podpływały do światła latarki. Przejście jakby się zwężyło, ale dalej można się było poruszać wewnątrz masywnej skały drogą, jak się zdawało, bez końca.

Klin poruszał się bardzo ostrożnie, oświetlając korytarz uważnie, badał nawet najmniejszą szczelinę. Cliff zwilżył

s pierzchnięte wargi. Był przekonany, że jego towarzysz szuka węża. Jego słowa ciągle brzmiały mu w uszach: „siedlisko węży, węży, węży”.

Nagle coś poderwało się w górę, plama głębokiej żółci pokazała się na ciemnej ścianie. Klin zareagował błyskawicznie. Cofnął się i celował zębatym, metalowym prętem w pękaty łeb węża.

sparaliżowany Davenport rozpoznał astrotię, której pewne odmiany z długimi, jadowitymi zębami są zdolne ukąsić nawet poprzez gruby materiał. Miała zamkniętą paszczę, więc nie można było sprawdzić... na razie. Wąż poderwał się gwałtownie i odplynał. Jego olbrzymie cielsko lśniło w całej okazałości. Zawrócił jednak po chwili i ruszył prosto na nich. Chff był zupełnie oszołomiony. Tylko Klin mógł go obronić.

W tym momencie Klin uderzył piką, ale astrotia była szybsza. Zrobiła unik, wygięła się i przepłynęła bokiem, zanim myśliwy zdążył zadać cios ponownie. Davenport ruszył naprzód z latarką. Nie miał innej broni. Naciskał więc guzik wyłączając i włączając rytmicznie światło. Oślepiła go jednak wytracona z ręki Klina latarka. Nie wiedział, gdzie podział się harpun. Mógł tylko stać i czekać.

Wąż nie ruszył się. Obserwował tylko profesora małymi, bystrymi ślepiami, jakby zastanawiał się, czy zaatakować. W końcu skoczył naprzód i Cliff poczuł, że został odrzucony z wielką siłą i stracił równowagę.

Wąż zniknął. W oddali zamajaczył snop światła. Po chwili przyplynał Klin i podał Cliffowi odnalezioną latarkę. Mieli dużo szczęścia. Trafili na węża z krótkimi zębami.

posuwali się teraz bardziej ostrożnie. Davenport jeszcze odczuwał w piersiach ból od uderzenia. Dziękował Bogu, że nie trafili na silniejszego drapieznika. Setki australijskich rybaków ginęło od ukąszeń węży, gdyż wiele ich gatunków posiadało jad dużo groźniejszy od jadu węży lądowych.

Ukąszenie było zwykle bezbolesne, ale już po kilku godzinach następował częściowy paraliż, oczy zamykały się, a szczęki zaciskały. Po paru dniach następowała śmierć przez uduszenie. Szczypce, choć straszne, zapewniają szybki zgon - pomyślał Cliff

Stanęli wreszcie u wylotu tunelu. Przed sobą mieli teraz ogromną grootę o wymiarach pięćdziesiąt na trzydzieści jardów. Jej sklepienie z jednej strony było bardzo niskie, znajdowało się zaledwie na wysokości kilku cali, ale wzrastało stopniowo w kierunku odległego końca. Zawahali się przez moment, nim przystąpili do penetracji wnętrza przy pomocy latarek.

Davenport wzdrygnął się, gdy zobaczył, że nierówna podłoga pokryta była śliskimi cielskami węży wszelkich gatunków. Leżały tu również wielkie, oliwkowe gady zwinięte w spirale. Jeden z nich leniwie podniósł łeb i spojrzał w ich stronę. Inne też zareagowały na hałas. Klin zawrócił, gdy rozpoznał ponad tuzin astrotii. Nie można było mieć złudzeń, że wszystkie są krótkozębne.

Wypłynęli na otwarte morze. Ciemna toń powoli rozjaśniała się i wkrótce mogli wyłączyć latarki.

Zaczęli systematycznie przeszukiwać podłoże rafy, penetrując kilka grot. Znaleźli parę błotnych krabów i natrafili na jeszcze jednego węża, długiego na pięć stóp. Miał głowę zanurzoną w piasku, w którym szukał pożywienia. Czar- no- złote cielsko gięło się, pozostając w pionowej pozycji, jakby słuchało niewidzialnego zaklinacza węży.

W końcu zatoczyli krąg wokół skały i wrócili do łodzi.

— Cóż — powiedział Klin zdejmując kombinezon. — Nie ma żadnych krabów. To pewne. A wężę z tej groty skutecznie przeganiają też rekiny. Tracimy, zdaje się, czas.

— Nasz czas na pewno nie był stracony — powiedział Cliff pamiętając o przygodzie z wężem. — Wiemy, że kraby poruszają się. Mogą pokazać się gdziekolwiek, ale nie wydaje mi się, żeby stało się to przed pełnią. W każdym razie nie w dużych ilościach. Składają jaja gdzieś na tych wyspach. Jeśli dostatecznie szybko ich nie znajdziemy, opanują oceany całego świata. Myślę, że trzeba zanurkować jeszcze ze dwa razy gdzie indziej. Później muszę zadzwonić do żony do Londynu i powiedzieć, że nie wrócę tak szybko, jak się spodziewałem.

Bruce MacAndrew przebywał na Hayman już prawie rok. W tym czasie znacznie przybladł, dużo stracił na wadze, a ataki kaszlu stale się nasilały; od niedawna pluł już krwią.

Jeszcze kilka lat temu zarządzał plantacją herbaty na Cejlonie. Warto zauważyć, że gdyby pił tylko ten napój, nie znalazłby się pewnie na Hayman. Nie był pewien czy ma raka czy gruźlicę i nie zamierzał zwrócić się z tym do lekarza.

Po zwolnieniu się z pracy na plantacji żył z niewielkich dochodów małej posiadłości w Szkocji. Kiedy kupił mały domek na wyspie, pozostało mu gotówki zaledwie na jedną butelkę whisky dziennie. Ale niczego więcej nie chciał od życia. Spał całymi dniami. Stracił opaleniznę, którą uzyskał spędzając prawie dziesięć lat w słońcu Cejlonu. Pił tylko w nocy. Czasem, kiedy choroba nie dokuczała mu tak bardzo, włóczył się po plaży. Nie miał innych ambicji i żył od jednej butelki do drugiej. Nie posiadał ani przyjaciół ani wrogów.

Mieszkańcy Hayman znali już dobrze MacAndrew. Wiedzieli też, że zajmował pastelowy domek między Klinem a biurem Shannona. Wielu znało go z widzenia. Mniej poznali go tylko ci, którzy wyjeżdżali, wówczas gdy on wędrował po nocach.

MacAndrew obserwował cały tydzień stojącego w zatoce

niszczyciela. Spostrzegł go przez okno, tak jak i to, że jedynie kilku rybaków wypływało ostatnio w morze. Domyślał się, że coś się wydarzyło i nawet jego ogarniało lekkie zaciekawienie.

Któregoś wieczoru postanowił wybrać się na plażę. Tego popołudnia skończyła mu się whisky, więc wyprawa do hotelu była i tak nieunikniona, jeśli chciał jakoś przetrwać noc.

Zamknął drzwi i stał przez chwilę mrużąc oczy w jasnym świetle. Przyglądał się zakotwiczonemu o pół mili stąd niszczycielowi, któremu ostatnie promienie słońca nadawały niesamowity i nierealny wygląd. Czknął, zastanawiając się nad groźbą wojny. Dawno temu sprzedał radio, a ostatnie gazety miał sprzed miesiąca.

Dowie się wszystkiego w barze hotelowym. Corder powie mu o wszystkim. Jeśli będzie w dobrym nastroju, może postawi mu drinka. Zdecydował, że najpierw jednak przepaceruje się po plaży.

Szedł krokiem niepewnym, nogi ugiwały się pod nim, jakby wstał z łóżka po długiej chorobie. Stopy głęboko grzęzły w piasku i dwukrotnie ledwo uniknął upadku. Dopiero, kiedy dotarł na twardszy grunt poruszał się łatwiej, choć ciągle się zataczał. Instynktownie trzymał się linii brzegu. Tu znajdował wiele interesujących rzeczy. Czasem napotykał puste butelki. Butelki go fascynowały. Kiedyś miał sen: znalazł pełną flaszkę whisky leżącą na piasku. Odtąd nie mógł się oprzeć, aby nie obejrzeć dokładnie każdego szkła.

Na plaży było trochę ludzi, ale większość trzymała się w pobliżu hotelu. Zastanowiło go, czemu nikt się nie kąpie. Pewnie znowu ostrzegano przed rekinami.

W skupieniu obserwował brzeg. Leżały tam kawałki drzewa mangrowego, pochodzące najprawdopodobniej z

pobliskich wysepek i mnóstwo śmieci pozostawionych przez plażowiczów.

Poczuł dreszcze, a świeże powietrze chyba tylko wzmagało kaszel zamiast łagodzić. Opanowały go nudności i piasek pod stopami zabarwił się od szkarłatnej śliny.

Kiedy wyprostował się i nabrał głęboko powietrza, zauważył coś, co płynęło po wodzie w jego kierunku. Postanowił zaczekać, bo i tak nie miał siły, aby iść dalej.

Nie dostrzegł szczegółów, bo większa część owego przedmiotu ukryta była pod wodą. Wyglądał on jak piłka futbolowa z masą czarnego zielska na górze, ale chyba napęczniony był wodą, bo płynął z trudnością. Każda fala podrzucała go o jard, nie wypychając jednak na brzeg.

Stwierdził, że to coś znajduje się jakieś dwadzieścia stóp od grzbietu fali i obliczył w przybliżeniu czas, w którym ten dziwny przedmiot powinien dotrzeć do brzegu. Co dwadzieścia sekund fala popychać go będzie o jard. Za każdym razem cofnie się o stopę lub dwie, posunie się więc dwie stopy do przodu. W sumie będzie czekał nie więcej niż trzy, cztery minuty.

Usiadł na mokrym piasku i dreszcze zelżały. Postanowił częściej wychodzić na powietrze. Przez chwilę zastanawiał się nad powrotem. Oznaczało to jednak noc bez alkoholu.

a hotel przecież zamkną za niecałą godzinę. Mimo wszystko postanowił pozostać na plaży. Była to odważna decyzja, choć wiedział, że nie najszcześniejsza. O świcie i tak wyruszy na poszukiwanie Cordera. Rzykując upokorzenie, będzie walił do drzwi i błagał rozzłoszczonego reportera o kieliszek alkoholu. Próbował już tego wcześniej. Może powinien zrywać z nalogiem powoli: zamiast całej butelki, kupować pół. Nie, to i tak nic nie da. Nie ma ucieczki. Tylko śmierć

uchroni go od picia.

Dziwny przedmiot znajdował się teraz o jard od niego. Za ciężki, by podплыnąć jeszcze kilka stóp: utknął w piasku prawie zupełnie zanurzony. Na powierzchni kołysało się tylko czarne zielsko.

Do diabła, nie wyglądało to najciekawiej, cokolwiek to było. Ciągłe nie potrafił tej rzeczy zidentyfikować. Upadł na kolana. Była już prawie w zasięgu ręki. Trzeba było ją chwycić teraz, zanim zmyje ją fala. Inaczej nigdy się nie dowie.

Wyciągnął drżącą rękę. Może nawet nie starczy mu siły, aby wy taszczyć ten przedmiot na brzeg. Musiał jednak wiedzieć co to jest.

Zielsko było dziwnie miękkie i jedwabiste: długie, ciemne, zdawało się, że jest przyrośnięte. Ubezpieczył uchwyt i próbował pociągnąć. Było bardzo ciężko, ale poradził sobie.

Jeszcze nierozpoznawalne powoli wynurzało się z wody to coś. Po chwili, kiedy zawisło w powietrzu, dostrzegł czyjeś oczy, szeroko otwarte w obliczu śmierci. Z ust wylewała się woda, a wystające z karku mięśnie nadawały jej wygląd ośmiornicy.

O b c i ę t a l u d z k a g ł o w a !

MacAndrew wpatrywał się w twarz Mackiego i nagle wypuścił z rąk mokre włosy, a głowa spadła ponownie do wody z głośnym chlupnięciem.

Skoczył na równe nogi i ruszył na oślep przed siebie. Zahaczył o coś i upadł na twarz, zaraz jednak się poderwał. Otworzył szeroko usta, ale zamiast okrzyku przerażenia wystąpił tylko kolejny atak kaszlu.

Uspokoił się trochę, dopiero wtedy, kiedy zwymiotował. Czuł, że jest bardzo osłabiony. Powoli, zataczając się, szedł w stronę niewysokich wzgórz, za którymi znajdował się hotel.

Postanowił odpocząć przez chwilę, zanim pokona następne dwieście jardów.

Słońce zaszło za niskie wzgórza i sawannę. Szarość zawisła nad plażą. Wokół było zupełnie pusto.

MacAndrew wzdrygnął się, spoglądając w kierunku morza. Ciemny punkcik kołysał się znowu na falach. Jeszcze raz zadrżał z przerażenia.

Carolina du Brunner przeżywała właśnie kolejny orgazm, niezbędny w jej życiu jak powietrze.

Leżała na brzuchu, nie widząc twarzy mężczyzny, który wszedł w nią gwałtownie i z każdym potężnym pchnięciem wnikał głębiej, coraz głębiej. Jęczała i być może opadłaby na łóżko, gdyby nie podtrzymały jej silne ręce.

Żałowała tylko, że nie mogła sprawdzić jak narasta namiętność, przepływająca z jej macicy do każdego nerwu. Szkoda, że wszystko odbywa się poza kontrolą. Szlochała więc spazmatycznie. Mężczyzna, który ją obejmował, był wspaniale zbudowany, chociaż szpeciła go blizna na dolnej wardze i nadmierne ucho. Zawładnął ją całkowicie. Posiadał moc tłoka parowego i ani razu w ciągu kwadrans nie zwolnił tempa.

Nagle Carolina du Brunner jakby wewnątrz eksplodowała. Zadygotała, wyginając się w łuk, pochyliła naprzód i prawie straciła przytomność, przeżywając gwałtowny orgazm.

Próbowała otworzyć oczy, ale nie mogła się skupić. Odróżniała tylko zamazane kontury przedmiotów. Ciało jej drżało, ogarniały ją fale rozkoszy, błagała, żeby to się nigdy nie skończyło. Tylko podświadomie czuła obecność mężczyzny, który pieścił ją teraz delikatnie. Wyraźnie chciał zostać z nią całą noc. Może jeszcze będą się kochać. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak mocno zaspokojona.

W pokoju było tak ciemno, że widziała tylko sylwetkę kochanka. Może brzydki ale przystojny. Nie, to niewłaściwe

określenie — pasuje raczej „wyrazisty”. Twarz na pewno miał zniekształconą: naderwane ucho, uszkodzona warga, lewe oko pół przymknięte i nos dwukrotnie złamany. Kiedy ostatnio oglądała jego zdjęcia, część twarzy zakrywała broda. Kapitan Manton był wtedy znacznie młodszy. Od tamtej pory minęło dziesięć lat. Podziwiała linię jego ciała: same mięśnie, ani uncji tłuszczu.

— Kapitanie Manton... Gerry — mruczała, kiedy odzyskała znowu głos. — Jesteś wspaniałym kochankiem.

— A ty, Carolino — odparł — jesteś nimfą.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

— Ale może powinnam nazywać cię Frank. Frank Burke — nie wytrzymała.

Zauważyła jak zeszytniał i głośno przełknął ślinę. Przycisnął jej ramię tak mocno, że prawie jęknęła z bólu.

— Co ty powiedziałaś? — syknął.

— Po prostu nazwałam cię twoim prawdziwym imieniem — powtórzyła z drżeniem.

Żałowała tych słów, ale było już za późno.

— Ty jesteś Frank Burke. Odsiedziałeś siedem lat z dziesięciu zasądzonych za napad z bronią w rękę na bank w Anglii. Przypisywano ci też zamordowanie strażnika, ale nie mogli tego udowodnić. Nie odnaleziono także dwudziestu pięciu tysięcy. I miałeś wtedy brodę. Mogłeś oszukać wszystkich na Hayman, ale nie Carolinę du Brunner. Odkryłam cię.

— I co zamierzasz teraz zrobić? — Znów poczuła jego uścisk na ramieniu i cieszyła się, że nie patrzy mu w oczy. Ten mężczyzna był mordercą.

— Nic — skrzywiła się i starała się mówić spokojnie. — Kompletnie nic. Prawo i tak cię teraz nie dosięgnie. Odsiedziałeś swoje. Poza tym zbyt dobrze umiesz się kochać, więc nie zamierzam ci zaszkodzić.

Frank Burke uśmiechnął się nieznacznie i siłą rozchylił jej uda.

Rozdział VI

Była już głęboka noc, kiedy MacAndrew dostrzegł także humorystyczną stronę ostatnich zdarzeń.

Przywiodły go one w pobliże Royal Hayman Hotel, na małe skupisko skał. Był przyływ i musiał wspiąć się wyżej, żeby fale nie zamoczyły mu nóg. Wcale nie zamierzał opuszczać tego miejsca, żeby pójść do hotelu. Na szczęście zapomniał nawet o whisky, po raz pierwszy od wielu lat.

Śmiał się cicho wspominając wyraz twarzy trupa: otwarte usta, wytrzeszczone ze zdziwienia oczy. Fantastyczne — pływająca ludzka głowa. Może ciało w tym czasie udało się na przechadzkę. Zareagował na tę myśl radosnym okrzykiem, który poleciał hen, po piasku i morskich falach.

Chciał przestać się śmiać, ale nie mógł się opanować. Osłabiło go to i, kiedy wreszcie postanowił się ruszyć, zabrakło mu siły. Rozśmieszyło go to jeszcze bardziej.

Woda obmywała mu teraz stopy, więc podciągnął się nieco wyżej. Znajdował się już na samym szczycie. Fale, które okrężyły go cicho, zdążyły zalać całą hotelową plażę. Nie miał odwrotu.

Nie mógł opanować napadów śmiechu. Miałby wiele przyjemnych i niezwykłych wrażeń, gdyby spędził całą noc

na plaży. Może Mackie zamierzał tak właśnie postąpić, ale niektóre części jego ciała miały odmienne potrzeby. Głowa powiedziała, że idzie popływać, a tułów nalegał na spacer po górach. Rozstali się zatem. MacAndrew miał nadzieję, że Mackie wybaczył mu, że tak bezceremonialnie obracał jego głowę. Pewnie zachował się niegrzecznie

Możliwe, że ona wciąż jeszcze pływa w pobliżu. MacAndrew spróbował dostrzec ją w ciemności. Woda sięgała mu już do kolan. Tak - patrzył z wysiłkiem przez jakiś czas - czarna plama zarysowywała się wyraźnie na wodzie. Cudownie! Głowa starego Mackiego nie zamierzała przerwać kąpieli.

MackAndrew zaczął krzyczeć, powstrzymując wybuch śmiechu.

- Mackie, rozejrzyj się za rekinami, stary durniu. Ha, ha, ha. Chodź tu, na skały. Całkiem tu przyjemnie. Ha, ha. A gdzie reszta ciała?

Położył się na plecach zupełnie wykończony. Dlaczego ten głupek mu nie odpowiadał? Skończony cham. Stopniowo Szkot tracił humor i wpadał we wściekłość. Nie lubił być lekceważony.

- Nie bądź pieprzonym egoistą, dobra?

Zmrużył oczy i szukał plamy. Znajdowała się wyraźnie bliżej. Może Mackie jednak nadchodził, by pogawędzić z nim. Przerywając potok przekleństw, które cisnęły mu się na usta, zadumał się nad sposobem pozbycia się głowy. Może da się ją odkręcić? Objął palcami swój kark i usiłował przekręcić. W efekcie stracił oddech i zaczął się dławić. Trzeba mieć do tego smykałkę. Mackie mu pokaże. To byłaby wspianiała odmiana.

- Chodź i pokaż, jak odłączasz swój pieprzony łeb! - wrzeszczał. W ostatniej chwili chwycił się sterczącej skały, o mało nie wpadając do wody. Sięgała mu już do pasa.

Mackie był coraz bliżej, dzieliło ich około dziesięć jardów. MacAndrew wyraźnie widział kontur jego głowy. Wydawała się większa, znacznie większa. I przybrała inny kształt. Tylko oczy jakby się zmniejszyły i nie były już martwe. Błyszczały czerwono.

- Nigdy nie zauważyłem, że masz taką wielką głowę. spuchła od wody w mózgu. Ha, ha, ha. Co jest, straciłeś język?

Oczy były na równi z wodą, w odległości kilku jardów. Rozzłościło go milczenie tamtego.

- Usiłujesz być dowcipny, co? To ci się nie uda. No więc? Jeśli nie będziesz trochę bardziej uprzejmy, to możesz się stąd zmywać. Ty... Hej, odczep się od mojej nogi!

MacAndrew usiłował uwolnić się z uścisku pod wodą. Trzymało go coś jak imadło. W przypiływie wściekłości kopnął prawą nogą i ta również została uwięziona. Wył z bólu, szarpał się jak szczeniak złapany nagle w sidła zastawione na królika. Kości były zmiążdżone.

Zacisnął ręce na skale, lecz coś go gwałtownie wciągało do wody, a żarzące się oczy obserwowały go nieruchomo.

- Chryste! - krzyknął. - Moje nogi. Ty skurczybyku, Mackie!

Przez ostatnie chwile ból był nie do zniesienia. Nie próbował nawet trzymać się skały, ale obsuwał się bezsilnie, cał po cał, wciągany w głąb po śliskiej skale, aż na powierzchni został tylko podbródek. Oczy jego znajdowały się teraz na poziomie wzroku napastnika, w

odległości kilku stóp.

- O Boże ty nie jesteś Mackie! - wyszeptał. - Jesteś diabłem we własnej osobie. To ty pozbawiłeś Mackiego głowy, a teraz...

Słowa MacAndrew przeszły w bulgotanie, gdy woda go pochłonęła. Nie walczył już. Otoczyły go zewsząd czerwone

ślepia. A więc to było piekło. Woda - nie ogień - sto razy bardziej przerażające.

Ból minął. Nie czuł już nic, choć wiedział, że ćwiartowano go wielkimi nożycami. Uświadomił sobie raczej, niż poczuł, że coś ściska go za gardło i wiedział, że jego głowa podryfuje za chwilę tak jak Mackiego.

Shannon nie był zadowolony. Nie dość, że musiał harować całą dobę, to jeszcze teraz parzył kawę i nalewał ją różnym gościom, którzy wygłaszali swoje teorie właśnie w jego biurze.

- Przewinęła się tu dzisiaj cała banda idiotów. - Przesunął trzy kubki kawy w stronę Davenporta, Klina i Cordera. Piwo skończyło mu się na krótko przed ich przyjazdem. Jego twarz wskazywała, że wiele się tej nocy wydarzyło.

- Telefon dzwonił bez przerwy, radiostacja nadaje, a kapitan tego cholernego niszczyciela zajął mi dwie godziny. Na trzy zmiany pracuje jeden helikopter, a jeszcze muszę dodatkowo wytłumaczyć hordzie lamentujących kobiet, że czort wie, co stało się z ich mężami. Zresztą, to naprawdę cholerna głupota teraz wypływać. Właśnie otrzymałem wiadomość z łodzi podwodnej, że mają coś na ekranie radaru, ale nie wiedzą co. Kazali mi czuwać. Czuwać! Jestem od trzydziestu sześciu pieprzonych godzin bez...

- Spokojnie - przerwał Davenport i uśmiechnął się, żeby ukryć niepokój. - Wszyscy żyjemy w napięciu. Wiadomo, że

kraby nie ukryły się blisko. To już coś, choć wiemy, że posuwają się piekielnie szybko, ale...

Nocny spokój został nagle przerwany. Rozległy się pojedyncze strzały a zaraz potem cała seria.

- Co do diaska? - Klin podniósł się gwałtownie.

- Strzały dochodzą z hotelu - Shannon ruszył do wyjścia, zabierając po drodze strzelbę z wieszaka. - To pewnie marynarze. Przyłynęli łodzią dzisiaj wieczorem.

- Zaczekajcie - krzyknął Davenport.

Shannon zaklął i cofnął się. W pokoju obok odezwało się radio. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Davenport podniósł słuchawkę. Twarz mu stężała.

- Tak - rzekł krótko. - Tak, już idziemy. Nie zostawajcie na miejscu. Najlepiej zarządzcie ewakuację na wzgórze. Nie dotrą tam. To za daleko od wody. Tak, pośpieszcie się!

Kiedy odłożył słuchawkę, Shannon wrócił od radia.

- To kraby - wyraźnie dygotał. - Namierzyła je łódź podwodna. Posłali za nimi dwie torpedy, które ich nawet nie drasnęły. Cała chmara kieruje się do zatoki.

- Są już na brzegu - Davenport rozdzielał broń. - Lepiej być uzbrojonym, choć to żadne zabezpieczenie. Chodźmy, przejedziemy się trochę jeepem. Powiedziałem dowódcy, by zorganizował ewakuację, zanim okrążą hotel. Nie mamy żadnej szansy. Cholera, nigdy nie spodziewałem się tego w czasie pełni. Idziemy.

Po chwili jeep ruszył w stronę plaży.

Atak był tak dokładnie przygotowany jak żaden manewr w historii ludzkich wojen. Stwory wynurzyły się z wody znieścacka, dopiero przy samym brzegu. Gdyby zrobiły to wcześniej, zauważono by je od razu z okrętu.

Uformowały szyk w kształcie litery „V”, jeden za drugim

jak klucz dzikich gęsi w locie. Prowadził krab dwukrotnie większy od pozostałych.

Armia potworów wyszła z głębin i podążała w stronę hotelu jak olbrzymia tarcza.

K l i k - k l a k , k l i k - k l a k .

Ich strategia różniła się znacznie od strategii zwierzęcej, a kto wie, czy nie przewyższała inteligencji ludzkiej. Nie mogły jednak uniknąć hałasu wydawanego przez wielkie szczypce. Stał się on jedynym sygnałem, który odebrały patrole wokół hotelu.

K l i k - k l a k , k l i k - k l a k .

Hałas wielokrotnie wzmacniało rozchodzące się po wzgórzach echo. Wszystko zapowiadało śmierć tak wyraźnie jak trzask gilotyny w czasie rewolucji francuskiej.

Dwie latarnie portowe i reflektory okrętów oświetlały plażę, a w ich blasku lśniły złowieszcze czerwone ślepiec oraz groźne gotowe do ataku szczypce. Wielki krab ze swoim zastępem znajdował się już pięćdziesiąt jardów od hotelu! Użyły fali jako zasłony i katapulty, która wyrzuciła je w ostatniej chwili na plażę bez utraty sił.

Dwaj mężczyźni zarepetowali broń i zaczęli strzelać do potwora, który szedł na czele armii krabów.

Na odgłos strzałów wybiegli obudzeni marynarze. Ich dowódca zatelefonował do biura patroli i informował załogę niszczyciela. Wydawało się jednak, że na zorganizowanie obrony zostało zbyt mało czasu. Grad karabinowych kul odbijał się od panczerzy krabów nie szkodząc im wcale.

Carolina du Brunner przeżywała właśnie drugi orgazm tej nocy, kiedy rozpoczęła się strzelanina. Krzyczała z rozkoszy, gdy Frank nagle wyrwał się z jej objęć spryskując ją nasieniem.

- Strzały! - krzyknął.

Chwyła go instynktownie, ale palce się jej ześlizgnęły, a on ostro odepchnął ją od siebie i podbiegł do okna.

Straszną scenę pod oknem oświetlał już jeden reflektor, bo drugi został zmiądzony; ogromne kleszcze unosiły marynarza, który desperacko się bronił. Burke'a ogarnął strach, gdy zobaczył jak przepołowione ciało mężczyzny spadło na ziemię.

- Jezu - wyszeptał i odwrócił się do dziewczyny. - Uciekamy.

Carolina du Brunner wciąż jeszcze była w ekstazie. Odgłosy walki nie docierały do jej pobudzonych zmysłów. Miotła się w konwulsjach, masturbując obiema rękami. Burke znalazł się przy niej w dwóch susach.

- Ty głupia dziwko! - Tam dzieją się straszne rzeczy, a ty myślisz tylko o jednym!

- Zostaw mnie - walczyła z nim nieprzytomnie. - Zostaw, ja...

Nie czekał, nim sama oprzytomnieje. Uderzył ją w twarz z całej siły, aż upadła. Rzucił jej koszulę, a sam nakładał spodnie.

- Uciekamy, szybko - mówił. - Ty, ja. Czekaj tu, będę za sekundę, wezmę tylko walizkę z mojego pokoju.

Ciężkie kroki zadudniły na korytarzu. Ktoś załomotał w drzwi sypialni.

- Wszyscy wychodzić. Zbiórka na tyłach budynku. Natychmiast!

Na dole rozdzwonił się alarm pożarowy.

Frank Burke szarpnął drzwiami i ciężka pięść sierżanta o mało nie trafiła go w brodę.

- Wszyscy na zewnątrz, proszę pana, szybko.

- Muszę wziąć coś z pokoju.

- Powiedziałem w s z y s c y ! Trzeba opuścić budynek i posiadłość.

- Tam jest dziewczyna - Burke wskazał głową za siebie, a marynarz wtargnął do pokoju i oniemiał na widok zsuwającego

się z łóżka nagiego ciała Caroliny du Brunner.

Frank Burke ruszył korytarzem, lekceważąc rozkaz. Mijał uciekających w popłochu ludzi. Kobiety krzyczały histerycznie.

Przepychał się nadal. Nie zamierzał opuszczać hotelu, zostawiwszy ukrytą pod łóżkiem walizkę zawierającą tysiące w angielskich i australijskich banknotach. Bez nich był nikim. Siedem lat więzienia poszłoby na marne i człowiek o nazwisku Kapitan Manton ulotniłby się jak poranna mgła w promieniach słońca.

Harvey Logan marzył o takiej chwili, chociaż nie wierzył, że naprawdę mogła nadejść. Zapowiadał coś już wcześniejszy przyjazd marynarzy. To dobry znak. Wcześniej zatem wyczyścił swoją dubeltówkę ekspres 500, naładował ją i zostawił w pogotowiu w otwartym pudełku z nabojami. Leżał i patrzył na nią. Sprawiało mu to największą przyjemność; podniecało o wiele bardziej niż Carolina du Brunner. Broń była naprawdę piękna. Mawiał, że jest jak kobieta. Sprawdzasz ich wiele, ale tylko jedna do ciebie pasuje i zostajesz przy niej na zawsze.

Pierwsze strzały wyrwały go z lekkiej drzemki. Całkowicie obudzony porwał strzelbę, zanim podszedł do okna.

- Piękne - mruczał, przyglądając się pierwszej linii atakujących krabów tuż pod nim. - Niewiarygodne!

Dreszcz podniecenia jak łagodny prąd elektryczny przepłynął po całym ciele. Nie czuł odpływu krwi ani strachu, ledwie zauważył śmierć pierwszego wartownika. Nie spieszył się. Taka chwila powinna być celebrowana. Żadne stado słoni czy bawolów nie zapewniłoby takiego trofeum, jakie tu mógł zdobyć pojedynczym strzałem. Ze strzelbą na ramieniu oparł wygodnie łokcie o parapet i namierzał kraba, który z

pewnością przewodził stadu.

- Jest mój - westchnął i wycelował w dziwną głowę bestii, decydując się umieścić kulkę pomiędzy jej oczami. Podniósł lufę nieco wyżej, na wysokość połyskujących czerwono koralu z ł e g o . Odciągnął spust, wstrzymał oddech i nacisnął. Rozległ się wielki huk, a silny odrzut cofnął go w głąb pokoju.

Triumfujący uśmiech zniknął mu z twarzy zastąpiony niedowierzaniem i rozczarowaniem, potem zaś wściekłością. Krab, wcale nie zraniony, zabierał się do zrywania balustrady parterowych sypialni, sięgając kleszczami na wysokość dziesięciu stóp. Harvey Logan wymierzył ponownie.. Tym razem drżały mu ręce. Nie mógł chybić. Puścił całą serię w otwartą paszczę.

Po chwili rozległ się ogłuszający hałas. Krab ściał drzewo, które przewróciło się z łoskotem, uderzając marynarza. Zajął się nim zaraz kolejny stwór.

Logan zaklął opróżniając strzelbę i ładując ponownie. To przecież niemożliwe. Czyste szaleństwo. Wystrzelił kolejny raz z obydwu luf, ale olbrzymi krab nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Wtedy wtargnął do pokoju sierżant marynarki.

- Chodź, żółtku - stuknął go palcem w ramię. - Wynosimy się stąd, ty też.

Logan burknął, by tamten go zostawił, ale już go nie było. Walil w inne drzwi, poganiając gości i personel. myśliwy podszedł do okna. Prowadzący krab zamierzał najwyraźniej po framudze wspiąć się na balkon tuż pod nim. Jego wysiłki były jednak daremne. Szczytce nie znajdowały niczego, co mogłoby utrzymać taki ciężar. Ześlizgnął się, upadł i przewrócił na grzbiet.

Harvey strzelił w tym momencie, ale stwór poderwał się natychmiast i znowu próbował się wspiąć. Był nie do pokonania i nieznana mu była porażka.

Logan ubrał się szybko, zabrał strzelbę i schował naboje do kieszeni. Był zdezorientowany. Potrzebował czasu, aby pomyśleć. Wyszedł na korytarz i ruszył w kierunku drogi przeciwpożarowej.

Na zewnątrz panował zgiełk. Padały strzały, waliły się mury, a kraby usuwały ostatni szereg marynarzy.

Biegł po opuszczonym korytarzu na drugim piętrze. Myślał, że wszyscy już dawno uciekli, gdy nagle otworzyły się jakieś drzwi i stanął w nich wysoki mężczyzna z walizką. Zderzyli się w pośpiechu. Logan zaklął, a tamten prawie poleciał na ścianę. Walizka wypadła mu z rąk i otworzyła się. Stos pieniędzy wypadł na podłogę. Były tam głównie angielskie pięciofuntówki i banknoty australijskie o wysokim nominale. Obydwaj zastygli w milczeniu, patrząc na siebie i na pieniądze.

- Ty sukinsynu! - ryknął wreszcie Frank Burke.

Harvey Logan zareagował w jednej sekundzie. Polowania nauczyły go działać instynktownie. Wyciągnął strzelbę i przyłożył nią w głowę przeciwnika. Burke westchnął, oczy zaszyły mu mgłą i w końcu osunął się na podłogę.

Logan oparł broń o ścianę, chwycił nieprzytomnego za ramiona i zaciągnął do pokoju. Zamknął za sobą drzwi chowając klucz do kieszeni. Jeszcze chwilę zajęło mu pakowanie pieniędzy do walizki. Potem zabrał strzelbę i znalazł miejsce, gdzie zebrano wszystkich gości hotelowych. Zauważył też w tłumie Carolinę du Brunner, ubraną w zwiewną szatę. W ciągu paru minut trzech żołnierzy wyprowadziło ich na wzgórze. Uciekał szybko, co chwilę oglądając się za siebie. Pogoni jednak nie było.

Pozostali w hotelu marynarze ubezpieczali tylko ewakuację. Nie było mowy o walce z krabami. Były niezwyciężone.

Niszczyciel śledził bitwę z odległości zaledwie dwustu czy trzystu jardów od brzegu, ale był bezsilny. Użycie ciężkiej artylerii zagrażało również ludziom. Mogli więc tylko czekać i obserwować. Łódź podwodna czekała u wejścia do zatoki. Załoga zamierzała naprawić swój poprzedni błąd.

Największy krab wreszcie zdołał wdrapać się na balustradę pierwszego piętra. Teraz nic nie stało mu na przeszkodzie, by przez okno wejść do środka. Drzwi balkonowe nie miały zabezpieczenia. Napał na nie z olbrzymią siłą, wrywając futrynę i cegły. Gdy szedł podłogi i sufity drżały pod nim. Zaglądał tylko do pokoi, nie wchodząc do środka. To było polowanie... na ludzi! Liczył, że nie wszyscy mieszkańcy zdołali ujść.

Nie znalazł nikogo na pierwszym piętrze, więc sunął po schodach na drugie piętro. Drzewo skrzypiało pod jego cielskiem. On jednak się nie śpieszył. Strzały na dole cichły. Olbrzymie kraby jeszcze raz udowodniły swoją przewagę nad ludźmi. A był to dopiero początek.

Frank Burke powoh dochodził do siebie. Głowa pękała mu od uderzenia i przez jakiś czas leżał usiłując przypomnieć sobie fakty. Jakiś olbrzym, chyba myśliwy, ogłuszył go. Dlaczego? Nagle przypomniał sobie o walizce. Usiadł gwałtownie, choć miał czerwone plamy przed oczami. Gdzie jest walizka, pieniądze?

Doczłogał się do drzwi i sięgnął do klamki. Trzymała mocno, a klucza nie było.

- Ratunku! - wrzeszczał kopiąc w drzwi z całej siły. - Wypuście mnie!

Z pewnością żołnierze go usłyszą. Strzały już zamierały, a kraby dawno zostały odparte. Kiedy tylko będzie wolny.

powinien odnaleźć Harvey'a Logana. Nagle doszły do niego hałasy z korytarza.

- Ratunku! Wypuście mnie!

Nie słychać już było kroków, tylko coś dziwnie zachrząsało pod drzwiami.

- Cholera z tobą, chcę wyjść!

Zaczął szarpać klamkę. W tym samym momencie usłyszał walenie w drzwi z przeciwnej strony. Odsunął się. Brakowało klucza, więc musieli użyć siekiery. Futryna wygięła się i puściły zawiasy. Następne pchnięcie wywaliło drzwi do wewnątrz.

- O Boże!

Frank Burke czmychnął w najdalszy kąt pokoju, nie mogąc jeszcze uwierzyć w to, co widział. Stojący w drzwiach krab odczuwał przyjemność na jego widok. Żmudne poszukiwania były warte zachodu. Wiedział, że ofiara już nie ucieknie.

Był jednak zbyt wielki, żeby przecisnąć się przez wąski otwór. Płaczący mężczyzna znajdował się poza zasięgiem jego kleszczy.

Framuga zadrzała pod naporem, a z sufitu spadały płyty tynku. Frank rozejrzył się. Okno za nim było uchylone, a pod nim czterdziesto stopowa czelusć. Usiadł na parapecie, przełożył nogę i zawahał się przez chwilę i wybierał inną śmierć. Trzask drewna i pęknięcie muru obwieściło wtargnięcie kraba. Kleszcze wyciągnęły się w jego stronę. Wyskoczył i przeraźliwie krzycząc spadł na ziemię.

Gluchy odgłos i cisza. Taki był koniec Franka Burke'a. Wielki krab syczał gniewnie niszcząc ściany i meble. Z furją miotał się wśród gruzów. Nie był przyzwyczajony, by ofiary umykały mu sprzed nosa.

Shannon zatrzasnęła drzwiczki jeepa i samochód ruszył

ostro. Jechali wzdłuż wybrzeża.

- Kurwa mać! - mruknął, gdy szereg atakujących krabów zagroził im drogę: Nie mogli się wydostać.

Oficer zawrócił i jechał z powrotem.

- O jakieś sto jardów w lewo jest wyboista droga - krzyknął Klin. - To nasza ostatnia szansa.

Shannon kiwnął głową i wkrótce potem cała czwórka jechała po twardej, nierównej drodze, która pięła się wśród zalesionych wzgórz. Cliff Davenport obejrzał się. Nie byli ścigani. Zgodnie ze swoimi zwyczajami, kraby płądowały tereny położone najbliżej wody.

Shannon zjechał z drogi, wyłączył silnik i światła. Nie słyszeli już strzałów. Dochodziło tylko owe k l i k - k l a k , gdyż napastnicy dewastowali teraz zdobyty teren.

Rozdział VII

Kraby na sygnał swojego przewodnika posłusznie opuściły tereny hotelowe i maszerowały równoległe do brzegu. Przewodnik był silnie podrażniony. Jego czułki poruszały się rytmicznie. Nikt nie mógł teraz stanąć mu na drodze.

Nie było śladu człowieka, a samochód z włączonymi światłami umykał przed nimi. Nie próbowały go ścigać.

Stwory zdewastowały doszczętnie parterowe domki. Taki sam los spotkał budynek biura patroli, a teraz zwróciły uwagę na stojące przy brzegu łodzie rybackie. Pierwsza należała do Klina i została zniszczona dokładnie, a jej resztki wraz z kawałkami innych kutrów wrzucono do wody. Kraby

najbardziej nie lubiły łodzi.

W Barbecue Bay tego dnia zakotwiczonych było około tuzina statków. Zniszczenie ich zajęło krabom zaledwie dziesięć minut.

Snop białego światła pokazał drapieżców w momencie, kiedy równym szeregiem zawracały do wody. Zachowując ostrożność, żeby nie utknąć na mieliźnie, niszczyciel, który znajdował się w zatoce, doплыł do brzegu tak blisko, jak tylko mógł. Kapitan obserwował stwory z odległości około dwustu jardów. Teren był teraz całkowicie wyludniony, wydał więc rozkaz rozpoczęcia ognia.

Bateria sześciocalowych dział odezwała się natychmiast. Te ogłuszające miotacze śmierci z oślepijącymi błyskami *były* znacznie gwałtowniejsze niż jakakolwiek burza tropikalna. Na plaży znajdowało się bardzo dużo krabów i trzeba było dokładnie celować, żeby w nie trafić.,

Ostrzeliwanie jednak nie przyniosło żadnego skutku. Choć jeden z krabów przewrócił się, ale został tylko oszołomiony i natychmiast się podniósł. Jego pancerz nie został uszkodzony, a zaledwie drażnięty. Odłamki trafiły jeszcze kilka innych i przez moment zapanowała wśród nich panika. Jednak przewodnikowi udało się ją opanować i kraby nie rozbiegły się poza krąg oślepiającego światła.

Potwór stanął dęba, unosząc szczypce, jakby w obronie przed atakiem. Trafił go nawet pocisk, ale tylko się zachwiał. Odnóżami zatoczył półkole, dając rozkaz powrotu do morza.

Kraby ponownie precyzyjnie uformowały szyk w kształt litery „V”, nie zważając na nieustanny ogień z okrętu. Pośpiesznie i z szacunkiem, choć ten okazywały wszędzie tylko jemu, wykonywały polecenia groźnego przywódcy.

Wszystkie, z wyjątkiem jednego kraba. Ten był poza obrębem światła, kiedy zaczęła się strzelanina. Zbieg okolicz-

ności, jeden wypadek na tysiąc, niewyjaśnione zrządzenie losu, takie samo jak i jego istnienie - krab został śmiertelnie zraniony. Nawet nie było to bezpośrednie uderzenie, ale rykoszet od pancerza innego kraba. Pocisk odbił się i zataczając łuk nad tłumem stworów trafił w pechowca, przebił mu maskę i utknął w ciele. Krab upadł i leżał cicho, zdezorientowany nieznanym mu do tej pory uczuciem... bólem.

Pozostał na miejscu, kiedy oddział pogrążył się w morzu, schowany w cieniu i niezauważony przez swoich.

Kraby wycofując się zrezygnowały z pokonania przeciwnika. Oślepiające światło i ciągły ogień z dział towarzyszył im póki ostatni z nich nie zniknął w wodzie. Odwrót jednak był tylko taktycznym posunięciem. Ostatni odchodził przewodnik. Sunął z zuchwale wyciągniętymi kleszczami w stronę niszczyciela obiecując, że jego armia będzie jeszcze nieraz walczyła z ludźmi. Wróć, przynosząc śmierć i całkowite zniszczenie.

Profesor Cliff Davenport, Shannon, Klin i Corder oglądali ten odwrót ze wzgórza; scena pod nimi była oświetlona jeszcze blaskiem reflektorów niszczyciela, a daleką ciemność rozjaśniały tylko strzały armat.

- A więc odchodzą - w głosie Shannona zabrzmiała ulga.

- Tak - Davenport nie był zadowolony. - Ale wróć. Odeszły, bo nie mogą pozostawać na lądzie dłużej niż kilka godzin. Ale, dobry Boże, nigdy nie myślałem, że jest ich aż tak dużo. Rozmnożyły się jak króliki czy szczury i nie można dowiedzieć się, ile jeszcze pływa w oceanie. Zejdźmy lepiej i oceńmy zniszczenia.

Shannon włączył stacyjkę i silnik zaczął pracować. Był zadowolony że Riodan poleciał na kontynent, żeby dokonać jakichś napraw w tym jednym helikopterze, który mu pozostał.

Ewakuowani goście stłoczyli się na wzgórzu o ćwierć mili od hotelu. Przerażeni, rozmawiali szeptem. Nawet teraz nie pojmowali w pełni tego, co się stało.

Trzej marynarze obserwowali drogę. Zatoka była niewidoczna spoza drzew. Pościgu nie spodziewali się, ale nie wolno było ryzykować.

Harvey Logan powoli odsuwał się od reszty. W prawej dłoni ścisnął swój ekspres, a w lewej odebraną Burke'owi walizkę.

Wielki myśliwy żałował, że go nie zabił. Było to takie proste; jeden trup więcej nie wzbudziłby niczyich podejrzeń. A jeżeli facet żyje, pojawią się problemy. Wątpliwe jest że zdobył forszę legalnie, więc na drodze prawnej nie mógł jej odzyskać. Tak czy inaczej, Logan wiedział, że musi się ulotnić jak najprędzej. Powinien jednak przedtem coś zrobić. Musi zabić choć jednego kraba. Taka okazja pewnie się więcej nie powtórzy. Zadręczałby się później, że nie wykorzystał sposobności i szukałby długo następnej, żeby ten błąd naprawić.

Każdy sportowiec wie, że w niektórych sytuacjach winny jest tylko on i ponosi pełną odpowiedzialność za własne zaniedbania. Harvey Logan miał duże pretensje do siebie, że nie upolował kraba. Zgubiła go zbyt duża pewność, że łup jest łatwy i w zasięgu ręki. Stał za blisko. Nazbyt gwałtownie nacisnął spust i lufa podskoczyła, zanim posłał nabój. Tak to tylko mógł wytłumaczyć. Dlatego postanowił bezzwłocznie naprawić błąd, by nie czuć się jak nędzny rzemieślnik.

Oddalił się potajemnie, kryjąc się w ciemnościach. Nikt go nie zauważył. Spieszył się. Lada moment jego niedawni wrogowie mogą zarządzić odwrót i nie staną się zdobyczą.

W ciemności marsz nie był łatwy. Mimo dużego doświad-

czenia, nabytego w różnych sytuacjach i miejscach, dwa razy upadł na prostej drodze. Klął cicho, podnosił się, ścisnął broń i walizkę i ruszał dalej.

Po jakimś czasie trafił na ścieżkę, którą uciekali. Za lasem widoczność była lepsza i mógł już dojrzeć w świetle gwiazd drogę i drzewa. Daleko stąd plażę oświetlały reflektory niszczyciela. Dostrzegł na brzegu wchodzące do morza kraby i błyski strzałów.

Ruszył biegiem w ich kierunku. Jego postępowanie stawało się obsesyjne. Choć jeden krab - błagał - może być nawet niewielki. Po prostu krab.

Wszedł do hotelu i zatrzymał się przez moment, aby popatrzeć na zniszczenia. W foyer leżały szczątki marynarzy, którzy zabezpieczali ewakuację. Logan nie miał pojęcia, ilu ich było. Nie można było tego stwierdzić nie policzwszy każdego kawałka ciała. Na podłodze znajdowała się jedna ogromna krwawa masa. Poślizgnął się na plamie krwi i ledwie nie upadł.

Nie czuł nudności. Śmierć była dla niego czymś powszechnym. Zwykle był w pobliżu gdy naganiacze patroszyli słonia, czy lwy. chłonał mocno ten zapach, zapach sukcesu. To też część polowania.

U wyjścia z budynku tarasowała drogę złamana balustrada. Zaczął się po niej gorączkowo wspinać. Strzelba i walizka poważnie utrudniały działania.

Przed nim znajdowała się hotelowa plaża. Niszczyciel ciągle jeszcze bombardował kraby. Logan przestał się wspinać, aby ocenić sytuację. Kraby były na lewo, o trzysta jardów od niego. Słyszał świst pocisków: jedne lądowały w piasku z głuchym odgłosem, inne odbijały się od pancerzy i leciały gdzieś dalej.

uchodzące stwory stanowiły już tylko czarną plamę na oświetlonej plaży. Odróżnił jeszcze przewodnika, aroganckiego i nieustraszonego potwora. Był nieczuły na strzały, które zresztą odbijały się od niego niczym piłka od ściany.

Teraz Harvey Logan biegł za nimi, zwalniając niedaleko brzegu, gdzie nogi grzęzły mu do kolan i gdzie nieustannie się potykał.

Kraby znikły w morzu. Ich kolumny szły równo, a poszczególne rzędy zakryły fale.

- Stać, wy sukiny! - krzyknął Logan ogarnięty wściekłością. - Pieprzone tchórze! Wracać!

Dotarł do suchego piasku. Za daleko, żeby strzelać, rzekł do siebie. Podejdź bliżej. Nie śpiesz się.

- O Boże!

Zatrzymał się. Ten okrzyk zawierał całą gorycz. Ostatni rząd wchodził do wody. Przewodnik odwrócił się nagle do okrętu, uniósł szczypcę w wyzywającym geście triumfu i podążył za podwładnymi.

Harvey Logan upadł na kolana, wciągając powietrze wielkimi haustami. Odeszły. Wszystkie. Ale przecie u c i e k ł y . On je wystraszył. Dlatego właśnie wróciły do morza, na pewno, nie z powodu niszcyciela. Uśmiechnął się pod nosem i wtedy ujrzał tego kraba.

Przyciągnęły go oczy, jarzące się jak dwa węgle w zarze paleniska. Przyjrzał się dokładnie jego sylwetce, zbitej masie ukrytej w cieniu. Pewnie przycupnął tam i z odległości trzydziestu jardów obserwował go nieruchomo. I teraz nie uniósł się, ani nawet nie poruszył. Musiał być ranny. Harvey owi nie robiło to różnicy. Czyż te wielkie kły słonia, które zdobiły ścianę jego studia w Ameryce, nie pochodziły od

zranionego wcześniej zwierzęcia? Kula w nodze nie pasowała do jego strzelby. Ale to nie miało znaczenia. Nikt nie wiedział. A trofeum, to trofeum.

Nie chciał zostawiać walizki nawet na kilka sekund. Znajdowało się w niej tyle pieniędzy, że bez trudności mógł uczestniczyć w paru safari. Była ciężka, prawie tak ciężka jak ekspres.

Podszedł bliżej, oczekując ataku kraba. Ten nie poruszył się jednak. Tylko oczy sygnalizowały, że pulsowało w nim jeszcze życie.

Większy niż baran, pomyślał Logan, dwa razy większy. Jeśli zostanę tu, na pewno zginie.

Wymyślił jednak inny sposób, w jaki chciał go dostać. Za chwilę pojawią się na brzegu marynarze. Na pewno przyplłyną z kontynentu specjalne oddziały. Harvey Logan pragnął sławy. Działa okrętowe nie mogły pokonać krabów, ale on, ostatni z wielkich myśliwych, zrobił to. Jego zdjęcia, jak siedzi na grzbiecie kraba z bronią na ramieniu zamieszczają wszystkie gazety na całym świecie. chwała!

Położył walizkę, odbezpieczył strzelbę i przyłożył do ramienia. Krab był bliżej niż tamten olbrzym, siedział patrząc na niego. Wystrzelił i opuścił broń. Krab wciąż go obserwował. Jediną różnicą był wyraz jego ślepi. Dostrzegł w nich większą wrogość. Wystrzelił z drugiej lufy.

Nie mógł uwierzyć. To niemożliwe. Żadne żywe stworzenie nie miało szans z pięćsetką z takiej odległości. Na pewno kula utknęła mu w mózgu. Tym razem nie popełnił błędu.

Ostatnie odruchy, zdecydował. To była odpowiedź, wyczytał, że prehistoryczne stwory umierały czasem przez pięć minut, mając uszkodzony mózg. Był to czas, w jakim śmiertelny bodziec docierał do wszystkich partii ciała.

Mógł poczekać, ale jeszcze się upewni. Przeszukał kieszenie i znalazłszy naboje, naładował ponownie. Ręce mu drżały, kiedy się przymierzał. Nie ze strachu, ale z podniecenia.

Wystrzelił znowu z obu luf. raz po raz. W czerwonych oczach dostrzegł nienawiść. Czułki drgały, a szczypcy na piachu się przesunęły.

- Giń! Cholera z tobą! - krzyczał tracąc panowanie.

Ładowanie. Strzał. Ładowanie. Strzał. Tuzin wystrzałów roznosił się wzmocnionym echem po plaży. Wreszcie skończyła się mu amunicja.

Człowiek i krab obserwowali się nawzajem. Snop światła uchwycił tę straszną scenę. Niszczyciel podpłynął. Na pokładzie odbijającej od niego łodzi znajdowało się kilku marynarzy.

Nagle okrzyki i strzały zakłóciły ciszę. Łódź została wywrócona, a woda wokół zapieniła się. Kraby olbrzymy zaatakowały niszczyciela okrążyły go i wspięły się po nieoświetlonej stronie. Działa były bezużyteczne. Strzelby i pistolety nie gwarantowały obrony.

Kto tylko mógł, uciekał pod pokład i zamykał żelazne drzwi. Inni mieli odcięty odwrót. Niektórzy zginęli na pokładzie. Kilku ludzi wyskoczyło za burtę, by wpaść prosto na czekające szczypcy, bo statek był nadal okrążony. Manewr został wykonany z zaskoczenia i tak szybko, że unieruchomił jeden z najnowocześniejszych okrętów na Pacyfiku.

Komandor schodził na dół strzelając z automatycznego pistoletu, kiedy chwyciły go olbrzymie kleszcze. Jego ciało zostało pocięte, a krwawe kawałki rozrzucone na innych ludzi, którzy znajdowali się na dole. Palce ręki ciągle ścisnęły broń.

W górnej części plaży tłoczyli się ludzie. Ci, którzy uciekli na wzgórze, wrócili. pojawili się także tubylcy. Stali jak

zakłęci.

Sylwetka niszczyciela rysowała się jeszcze na horyzoncie. Postradał światła i podobny był do zjawy. Potem stopniowo zanurzał się, aż zniknął z horyzontu. Ostatni akt zniszczenia był najpotężniejszy. Kraby zwyciężyły na lądzie i na morzu. Harvey Logan też obserwował tonący okręt, a potem odwrócił się, by popatrzeć na kraba. Z jego oczu znikł jaskrawy blask, jakby oślepl. Okazało się, że nie żył.

Poderwał się i odwrócił do tłumu przed Royal Hayman Hotel.

- Dostałem jednego - krzyknął. - Mam tego sukinsyna. Zrobiłem to, co nie udało się to nawet okrętowi. Harvey Logan pokazał im co potrafi!

Z martwym krabem pozostała również walizka.

Oddziały specjalne przybyły o świcie. Na złotej plaży Barbecue Bay lądowały helikoptery z Mackey i Prosperine. Głęboki błękit wody połyskiwał w promieniach słońca, ale pozostała pamięć o dokonanej tu rzezi, która będzie ciężką nad wyspą.

Po godzinie helikoptery odleciały wioząc tych z gości, którzy zdecydowali się wracać na kontynent. Wyjazd był dobrowolny, toteż ewakuowali się tylko nieliczni. Wielkie katastrofy przyciągają swoich miłośników. Jest makabryczny fan-club wampirów, który potajemnie syci się widokiem wypadków drogowych, kolejowych czy lotniczych. Hayman zaś stała się miejscem mogącym zaspokoić ich potrzeby w dwójnasób.

Zołnierze rozpoczęli jednocześnie akcję ratowniczą i prewencyjną. Przy pomocy nurków wyciągnięto z zatopionego niszczyciela ciała tych, którzy szczęśliwie ocalili od straszliwych kleszczy. Straty w ludziach objęły czternaście ciał odnalezionych i pięćdziesiąt siedem osób,

kóre zaginęły. Należy przypuszczać, że nikt nie przeżył, choć nie znaleziono żadnych dowodów. Te kraby, jak szarańcza, nie pozostawiały za sobą nic prócz potwornych zniszczeń.

U wejścia do zatoki zarzucono sieci. Tę pracę wykonywało wielu ludzi przez prawie dwa dni, choć wiedzieli oni, że to daremny trud, ale który przynajmniej upewnił innych, że zrobiono cokolwiek dla zapobieżenia następnej inwazji.

Część pokoi hotelowych nadawała się nadal do użytku, a dla reszty gości ustawiono na zapleczu ogromny namiot.

Straty w ludziach były widoczne: dziewięciu marynarzy i trzy osoby z personelu hotelowego. Była jeszcze jedna ofiara znana jako kapitan Manton, który skoczył z drugiego piętra, bojąc się śmierci od kleszczy kraba.

Carolina du Brunner nie okazała najmniejszego żalu, gdy dowiedziała się o śmierci swego ostatniego kochanka. Nie pytała nawet o szczegóły. Dopiero w nocy, kiedy leżała w swoim pokoju pieszcząc się przypomniała sobie dokładnie Franka Burke'a. Po długim orgazmie łkała, a potem usnęła, tylko częściowo zaspokojona.

Marynarze pilnowali plaży dzień i noc. Część zajmowała się transportem martwego kraba. Przewieziono go na dużej przyczepie do biura patroli, gdzie miał zostać zbadany przez profesora Davenporta.

Nikt jednak nie doniósł o znalezieniu cennej walizki. Wartownicy mieli tego dnia kłopot z pewnym brodatym mężczyzną i kilkanaście razy wyrzucali go z plaży.

Harvey Logan wrócił w końcu do hotelu, oczyścił lornetkę z piasku, ale nie znalazł walizki ani żadnego śladu po niej.

Cliff Davenport zamierzał najpierw zdjąć pancerz kraba. Zadanie było trudne - zrozumiał to dopiero wtedy, gdy zdwojone wysiłki całej grupy marynarzy nie przyniosły żadnych efektów. Głębszą rysę zrobił wreszcie mały dźwig, do którego przytwierdzony był ciężki żelazny blok ze stalowym łańcuchem, który normalnie służył do przenoszenia postumentów. Po godzinie udało się w końcu dotrzeć do ciała.

Rozszerzono szczelinę żelaznymi prętami, korzystając ciągle z pomocy dźwigu. Po pięciu godzinach pracy pancerz nareszcie został zdjęty.

- Gdyby można go było użyć do celów komercyjnych - Davenport nachylił się i podniósł kawałek skorupy - rewolucjonizowałby całe uzbrojenie. Oprze się każdemu pociskowi.

Pułkownik przytaknął. Był to wysoki mężczyzna ze spokojną twarzą.

- Proszę spojrzeć - Davenport wskazał na głęboką ranę pod brodą stwora. - Oto pięta Achillesowa. Jedyne miejsce wielkości spodka, w które należy celować. Ta kula jest spłaszczona i tu nie weszła głęboko, zaledwie na stopę.

- Pozostaje nam tylko celować dokładnie pod brodę z broni sześciocalowej - zaśmiał się ponuro pułkownik.

- I nawet śladu tych pięćsetek, które walił w niego nasz wielki myśliwy - gwizdnął Davenport. - Nawet draśnięcia. No i nie będzie miał trofeum. Cholerny pętał. Cały czas twierdzi, że krab należy do niego i nie mamy prawa go zabierać.

- Próbował też dostać się na plażę - rzekł oficer. - Moi ludzie zagrządzali mu drogę co najmniej tuzin razy. To jakiś dziwak.

Davenport badał dalej.

- Samica - głos miał napięty. - Pełna jaj. Niedługo miała je składać, pewnie w następnej pełni. Oto gdzie leży prawdziwe zagrożenie, pułkownik. Składa jaja w czasie od-

pływu. A to tylko jedna z wielu. Musimy za wszelką cenę zniszczyć nowe pokolenia krabów.

Ń A po tym, co widzieliśmy - rzekł żołnierz sarkastycznie

- jak pan zamierza to zrobić?

- Najpierw musimy je znaleźć - skrzywił się Davenport.

- Potem będziemy myśleć. Zależy, gdzie mają miejsca lęgowe. Jeśli z dala od ludzi, możemy użyć bomb. Jest mnóstwo nieznanymi, bezludnymi wysp na tych terenach. Idealne są te porośnięte mangrowcami, i to dla krabów każdego gatunku. Chcę przeszukać te wody helikopterem. Wiem, że to szukanie igły w stogu siana, ale może będziemy mieli odrobinę szczęścia. Wszystkie te potwory zbiorą się tam przy pełni księżyca. Samice nie będą same składać jaj. Musimy trafić do nich wtedy, gdy jak najwięcej osobników będzie razem. Wtedy je zniszczymy. Poproszę Shannona, żeby oddał mi do dyspozycji swego pilota, Riordana. Zabierzemy też Klina, zna te wody najlepiej. A właśnie, nie widziałem go już parę godzin, od momentu, kiedy znaleźliśmy kraba.

- Może się zdrzemnął - pułkownik skrzywił się, z powodu fetoru pochodzącego od stwora.

- Pewnie naprawia swój dom - Cliff nachylił się nad krabem i zaczął ciąć go ostrym nożem. - Proszę mnie zawiadomić o posunięciach wojska, pułkownik. I proszę zgromadzić siły powietrzne. Trzeba się modlić, żebyśmy

mogli ich użyć. W przeciwnym razie będziemy mieli taką wojnę, że te obydwa starcia okażą się przy niej zaledwie ćwiczeniami polowymi.

Rozdział VIII

Klin nie zamierzał odsypiać straconych godzin. W rzeczywistości, sen był ostatnią rzeczą, o której teraz mógłby pomyśleć.

Jako pierwszy, razem z Davenportem, Shannonem i Corderem oraz grupą rybaków wybrał się na plażę. Przewyciężył lęk i wyruszył na oględziny martwego kraba. Harvey Logan obwieszczał wszem swoje osiągnięcie, stojąc wciąż jedną nogą na pancerzu ze strzelbą na ramieniu.

Panowała zupełna ciemność, od momentu gdy reflektory niszczyciela zostały zniszczone. Klin zaklął pod nosem, kiedy potknął się o prostokątny przedmiot i stracił równowagę. Poderwał się błyskawicznie, ale działał jakby podświadomie. Był sam. Postanowił sprawdzić, o co się potknął. Zastanawiał się, w jaki sposób znalazła się tu walizka. Nie była zamknięta. Podniósł wieko. Minęło parę sekund zanim zorientował się, że plik papierów w środku to pieniądze. Walizka pełna była banknotów, o różnych nominałach. Musiała to być kupa forsy.

Zamknął wieko i zabezpieczył zamki. Kręciło mu się w głowie. Takiej sumy nigdy by nie zgromadził przez wszystkie lata połowów i drobnych oszczędności.

Ukląkł na piasku i nasłuchiwał. Nikt go nie zauważył.

Tłumek zebrał się wokół kraba. Dochodził stamtąd też nosowy głos Logana.

Klin podniósł walizkę i ominąwszy hotel ruszył do domu. Wiedział, że został zniszczony przez kraby, choć teraz tak się tym nie martwił. Musiał przez chwilę *być* sam, daleko od wszystkich i wystarczająco długo, by przeliczyć pieniądze, a następnie podjąć kilka decyzji.

Część domku, w której znajdowała się sypialnia, była w gruzach. Salon jednak ocalał. Wejście było zdewastowane, ale masywna ceglana konstrukcja wytrzymała. Wszedł i ustawił uszkodzone drzwi w pozycji, na jaką tylko pozwalało pochylone nadproże. Znalazł świecę, zapalił ją i wysypał banknoty na podłogę.

Po dziesięciu minutach wiedział już, że jego skarb był wart około dwudziestu tysięcy funtów. Nie miał czasu na dokładne przeliczenie. Nie zastanawiał się, do kogo pieniądze należały, nie zamierzał nimi z nikim się dzielić. Martwił się jak znaleźć bezpieczny schowek. Nie mógł przecież nawet zamknąć drzwi. Miejscowe dzieciaki z pewnością będą się tu bawić w czasie jego nieobecności. Mógł też spodziewać się szabrowników. Pojawiają się przy każdej katastrofie.

Dniało, kiedy opuścił dom kierując się w stronę karłowatych sosen, około trzydzieści jardów od domu. Niósł walizkę i zardzewiały szpadel ze złamaną rączką. Powinien jednak wystarczyć, bo ziemia była miękka i piaszczysta.

Już po dziesięciu minutach zasypał dziurę, maskując ją igliwem.

Wrócił do zrujnowanego domu, odnalazł kawę i kubek, który jakimś cudem ocalał. Usiadł, spoglądając na zatokę i sącząc ciepły napój. W tym momencie kraby odeszły na dalszy plan, chociaż dzięki nim zyskał fortunę. Jeśli nawet dzięki

krabom natknął się na skarb, przyszedł czas. by opuścić Hayman. Jeśli tylko nie zniszczyły łodzi. Może mógłby polecieć helikopterem. Na walizkę nikt nie zwróci uwagi. Wszyscy pasażerowie będą mieli bagaż.

Pomyślał o Carolinie du Brunner. Zaśmiał się cicho. Już nigdy nie będzie małą nimfą, bogatą dziewczyną, która utrzymuje miejscowego rybaka dla kaprysu. Jego skarb ich zrównał.

Klin wypił resztę kawy i rzucił kubkiem o ścianę tak, że rozprysł się na kawałki. Potem pchnął drzwi, aż otwarły się na tyle, by mógł się przez nie przecisnąć. Nawet nie zauważył jak obsypał go tynk.

Skierował się w stronę hotelu. Szara egzystencja, która trwała latami, skończyła się nagle. Przerwała ją armia wielkich krabów i piękna kobieta.

Tragedia wzmogła życie hotelowe zamiast je osłabić. Ci, którzy dotąd nudzili się i przy pomocy pieniędzy urozmaicali sobie życie, teraz ekscytowali się ostatnimi wydarzeniami. Przegrali natomiast amatorzy mocnych wrażeń. Wiadomo było, że gdyby kraby powróciły, wtedy wszyscy zostaną wywiezieni dla bezpieczeństwa na pobliskie wzgórze. Niektórzy więc już powrócili na kontynent.

Zdewastowane pokoje zostały zaplombowane, aby skrzętnie ukryć przed oczami wrażliwych krwawe dowody nienawiści do ludzi. Na zapleczu uruchomiono prowizoryczny bar, a tych, których pokoje nie nadawały się do użytku, ulokowano w wielkim namiocie. Był to luksusowy camping, w którym celowo zachowano surowe warunki życia, dając jednocześnie gościom pełny zakres usług hotelowych.

W ciągu paru godzin życie w Royal Hayman Hotel nabrało nowych uroków.

Pokój Caroliny du Brunner ocalał, choć została zniszczona framuga w drzwiach wejściowych. Krab sprawdził pokój, a nie znalazłszy nikogo, powlókł się najwidoczniej dalej, w poszukiwaniu ludzkich ofiar.

Zabezpieczyła drzwi krzesłem i wróciła do łóżka na kilka godzin. Puszczając wodze fantazji oglądała nagiego Franka Burke'a i przeżywała ekstazę.

Zapadła potem w głęboki sen i nie słyszała nawet jak ktoś otworzył drzwi i zaraz je cicho zamknął.

Klin usiadł na brzegu łóżka i przyglądał się jej przez chwilę. Nie trudziła się, żeby się okryć prześcieradłem, a jej ręka nadal spoczywała między białymi udami.

Klin delikatnie pieścił jej piersi, a ona trwała w półśnie. Zamruczała kilka razy „Frank” i prowadziła jego rękę niżej. Obudziła się wtedy, kiedy dotyk stał się bardziej natarchywy.

- Klin! - krzyknęła skonsternowana i usiłowała wstać. Zmusił ją, by pozostała na miejscu. - Zdaje się, że powiedziałam ci...

Zaśmiała się tylko a ona zauważyła, że był już rozebrany. Wyczuwała jego podniecenie, kiedy kładł się obok.

- Znalaziono na brzegu kraba i pewnie go potną. Przy-
niosę ci w prezencie kawałek pancerza.

- Zastrzelił go Harvey Logan, w każdym razie tak opowiada każdemu, kogo spotka.

- Nie wiem - Klin spróbował rozewrzeć jej uda i z satysfakcją zauważył, że się nie opierała. - Może tak, może nie. Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi.

- Dlaczego wróciłeś, Klin?

- A jak myślisz? Do ciebie i... Mam niespodziankę.

Sięgnęła niżej i zaczęła pieścić go. W nocy, kiedy rozebrała się jedna z najokropniejszych bitew w historii.

- Oto co nazywam prawdziwą niespodzianką. Klin.

- To nie wszystko - pocałował ją. - Chcę ci coś powiedzieć.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Mężczyźni zawsze mieli jej coś do powiedzenia. Coś obiecywali, czynili aluzje do ewentualnego rozwodu, przechwalili się, a wszystko po to, żeby usprawiedliwić te pół godziny z nią. Ale Klin, to do niego nie pasowało. Zresztą nie musiał tego robić. Miał to, czego chciał, bo był właśnie Klinem.

- Przemyślałem to, co mi powiedziałaś - jego pewność siebie nieco zmalała. Nie był przyzwyczajony, żeby dawać wiarę słowom. - O... no... wspomniałaś o ślubie.

- Tak? - uniosła brwi. - Nie przypominam sobie.

- Tak - oczy mu błysnęły i musiał się opanować. - To była tylko sugestia, refleksja, ale tak właśnie powiedziałaś.

- Może czułam się wtedy trochę samotna. Ale nie musisz porzucać wszystkiego, żeby ci się ze mną udało. Powinieneś chyba już o tym wiedzieć.

Słodka żmija, pomyślał, nienawidził jej za to. Ale był zbyt podniecony, żeby się teraz klócić.

- Mam pieniądze - powiedział. - Nie jestem już tylko biednym rybakiem z długim członkiem.

- Oh! - zdziwiła się. - Nie myślisz chyba, że robię to tutaj dla pieniędzy.

- Nie o to chodzi - zacisnął szczęki, a jego dotyk stał się silniejszy. - Myślę, że to... niejako nas zrównuje.

- A jak zdołałeś się tak wzbogacić od tamtego spotkania? - okpiła go, nazwała kłamcą. - Daj spokój Klin. Potrzebuję teraz mężczyzny i nie musisz opowiadać

niestworzonych historii.

- Posłuchaj tylko i nie opowiadaj bzdur - rozzłościł się i na policzkach pojawiły mu się białe plamy. - Mogę cię tam zaprowadzić. Dwadzieścia tysięcy australijskich i angielskich funtów.

- W porządku - miała nadzieję, że zabrmi to przekonująco. - Wierzę ci na słowo.

- Pomyślałem, że moglibyśmy stąd razem wyjechać. Zapomnieć o tej wyspie, krabach, o wszystkim...

Czekał na natychmiastową odpowiedź. Wiedziała, że byłoby głupotą znów okazać, że mu nie wierzy albo, co gorsza, odmówić. Głównie z tego powodu, że mógł jej teraz ofiarować, to czego pożądała. Poza tym słyszała, że ten facet naprawdę był gwałtowny.

- Brzmi podniecająco. - Przymknęła oczy, próbując udawać podekscytowanie. - Tylko ty, i ja. Klin.

- Tylko ty i ja - powtórzył i wślizgnął się w nią.

Skończyli dopiero po długim czasie.

- A z tymi pieniędzmi r szukała na stoliku cienkiego materiału. - To nie żartowałeś?

- Nie - powiedział. - Mam je.

- Gdzie?

- Niedaleko. Mogę cię tam zaraz zabrać.

- Później - powiedziała, wyrzucając kulkę wilgotnego materiału do kosza na śmieci. - Nie śpieszmy się, Klin.

- Wyjedziesz ze mną?

- Oczywiście. Ale nie w tej chwili. Za kilka dni, może za tydzień. Gdzie znalazłeś pieniądze?

- Leżały niedaleko bez właściciela.

Uśmiechnęła się domyślnie. Przypomniała sobie, co mówił Frank. Jeśli obaj nie kłamali, to były to z pewnością te same pieniądze. A Frank Burkę wyskoczył i zabił się,

uciekając przed krabami.

Sięgnęła rękę i dotknęła go. Poczula jak znowu twardnieje. Roześmiał się i wrócił pomiędzy jej uda.

- No Klin - pocałowała go. - Teraz spokojnie. Mamy przecież cały dzień przed sobą. Możemy rozmawiać, dokąd pojedziemy. Szczęściarz z ciebie! Znaleźć taką sumę! *Załóżę* się, że schowałeś je dobrze w miejscu, jak najbardziej odpowiednim.

- Gdzie u diabła byłeś do tej pory. Klin? - Cliff Davenport spojrział na niego i nadal klęczał między kawałkami pancerza.

- Nie jestem niczyją własnością - odparł Klin arogancko. - Przychodzę i odchodzę kiedy mi się podoba, profesorze. Miałem kilka spraw do załatwienia, musiałem też posprzątać mieszkanie.

- Nie było cię, kiedy pojechałem tam przed paroma godzinami - mówił zasapany Shannon, opierając się na ciężkim kilofie.

- Patrzcie - Klin podniósł dwa palce i pogroził Davenportowi, Shannonowi, Corderowi i pilotowi, który właśnie wszedł. - Nie będę się przed nikim tłumaczył i nie zamierzam...

- Dobra, dobra - rzekł szybko Davenport i uśmiechnął się. - Nikt ci nie rozkazuje. Klin. Po prostu potrzebujemy cię, jesteś najlepszy w robocie, którą trzeba wykonać."

- O! - Klin wyraźnie się odprężył. - A co to takiego, profesorze?

- Musimy przeszukać te wyspy i znaleźć mangrowe bagna - odparł Davenport. - Może być ich tuzin, a może nie być ich wcale. Tak czy inaczej, jest to nasza jedyna szansa zlokalizowania miejsc lęgowych krabów.

- No, to powodzenia - powiedział Klin. - Opuszczam

Hayman na dniach*. I to na dobre.

Davenport i Shannon spojrzeli na siebie.

- Tak? Nigdy nie spodziewałem się, że Klin opuści wyspę

- rzucił Shannon.

- To tylko wskazuje, jak bardzo można się mylić - Klin nachylił się, podniósł kawałek skorupy i uważnie się jej przyjrzał. - Jak żelazo, nie?

- Przydałbyś się nam, Klin - ciągnął Shannon. - Znasz te wody lepiej niż ja i Riordan.

- powiedziałem, że chyba się wynoszę.

- Powiedział pan „chyba” - podchwycił Davenport. - Ale nim pan to zrobi, bylibyśmy wdzięczni za pomoc. Będziemy latać każdego dnia: Shannon, Riordan i ja. Byłoby dużo łatwiej, jeśliby pan się przyłączył.

Klin wepchnął ręce w kieszenie i patrzył w ziemię, bezwiednie rysując coś czubkiem tenisówki. Mówiła, że wyjedzie z nim za parę dni. Może nie powinien jej tyle opowiadać o pieniądzach, ale musiał jej udowodnić, że nie kłamie. Zastanawiał się, czy nie powinien wykopać walizki i schować jej gdzie indziej. Stwierdził, że nie ma takiej potrzeby. Sama była nadziana. Jego pieniądze zmniejszyły tylko dystans między nimi. Ona i tak nie potrzebowała pieniędzy,

- No więc? - spytał Shannon.

- Zgoda - Klin odwrócił się do Davenporta. - Pojadę z wami. Ale ta umowa może być zerwana każdego dnia. Jeśli zrezygnuję, będziecie musieli radzić sobie sami.

- W porządku - odezwał się z wyraźną ulgą w głosie Davenport. Zaczynamy jutro rano. Powiedziałbym, że przez

tydzień będziemy spokojni, a później naprawdę zaczniemy się martwić.

Wszyscy trzej patrzyli, jak Klin oddalał się do swego domku.

- Co mu odbiło? - mruknął Shannon. - Jest częścią tej wyspy. Odkąd pamiętam, zawsze tu był, a teraz, kiedy robi się gorąco, chce wyjeżdżać. Nie sądzicie, że zwariował?

- Nie - Davenport wrócił do pracy. - Tylko dwie rzeczy mogę tak zmienić człowieka. Jedną jest księżyc, drugą kobieta.

Uderzył kraba małym młotkiem.

- Tym tutaj rządzą fazy księżyca. Nie wydaje mi się, żeby Klin miał ten sam problem.

Riordan leciał na wysokości pięćdziesięciu stóp nad zatoką. Mógł swobodnie zejść do trzydziestu, ale tego nie robił. Za każdym razem, kiedy był nad wodą, myślał o tym, co się stało z Johnsonem. No dobrze, kłopot z silnikiem, to się mogło przydarzyć każdemu. Jemu też. Dlatego wołał zachować znaczną odległość od wody. A w ogóle, nie lubił ostatnio latać.

- Spróbujmy tam - Davenport nachylił się, wskazując na małą wysepkę, która pojawiła się na horyzoncie po lewej.

Riordan potakiwał ruchem głowy. Shannon patrzył przez lornetkę. Klin lepiej usadowił się na miejscu.

Wyspa powoli stawała się większa, oddzielając się ostrą kreską od błękitu wody. Biała plama z odległości pół mili była coraz lepiej widoczna.

Napięcie w helikopterze rosło razem z nadzieją i strachem, by w końcu opaść.

Nic. Szósta tego dnia. Była to duża rafa koralowa, opuszczona przez istoty żywe.

- Beznadziejne - mruknął Shannon. - Nie znajdziemy ich. I im szybciej sobie to uświadomimy, tym lepiej. Nawet łodzie podwodne nie są dość dobre na te kraby, co widzieliśmy ostatnim razem.

Shannon przypomniał sobie, że profesor już raz się przeliczył. Oby nie omylił się i tym razem.

Wielki, długi bar w Royal Hayman Hotel wciąż nosił ślady ataku krabów. W oknach nie było szyb i brakowało też mebli, a wielki stos na werandzie składał się z połamanych stołów i krzesel.

Większość gości na stojąco piła drinki. Davenport i Corder znaleźli jednak dwa stołki.

- Mój wydawca mówi, że wszystko przebiega zbyt spokojnie. Jeżeli teraz nic się nie stanie, ludzie zapomną o całej historii - Corder sączył już trzecią whisky. - Zawsze są tego typu problemy w tak oddalonych miejscowościach. Gdyby to była choć Bondi Beach albo port w Sydney...

- Nie życz mi tego - Davenport się nie uśmiechał. - Mogłoby się to wydarzyć gdziekolwiek: w Nowym Jorku, Cape Town, bądź w każdym innym miejscu. Nie wiemy, ile jest naprawdę tych krabów. Minęły cztery lata od ataku w Walii. Może ich być niewyobrażalnie dużo. A wtedy są w stanie zniszczyć każdy port morski. Wyobraź sobie ludzi uwięzionych na poszczególnych kontynentach. Ustaje handel drogą morską. Lepiej o tym nie myśleć - przerwał.

- O, więc Carolina du Brunner nie wyjechała! - Oczy Cordera podążyły za jego wzrokiem. Zobaczył milionerkę ubraną w suknię wieczorową, kosztującą tyle, ile wynosiła jego miesięczna pensja. A jej klejnoty miały pewnie wartość rocznej pensji.

- Rozmawia z tym wielkim myśliwym - mruknął reporter. - Facet twierdzi, że zastrzelił kraba.

- To nieprawda - parsknął Davenport. - Powalił go strzał z niszczyciela. On zaczyna mi działać na nerwy. Jeśli znów jutro przyjdzie węszyć, wezwę żołnierzy.

- Sądząc po jego wyglądzie, będziesz ich potrzebował za chwilę.

- Teraz olewam to - zaśmiał się profesor. - Jest teraz moim najmniejszym zmartwieniem.

- Rzeczywiście przeszedłem samego siebie - Carolina uśmiechała się nieśmiało do swego towarzysza. - To fantastyczne, że zdołałeś zabić tego potwora, choć nie udało się to nawet armii.

- To zupełnie jasne - Harvey się podniósł. - Cholernie niebezpieczna sprawa. Ale nic się w życiu nie osiągnie bez pewnego ryzyka.

- Jeden z gości został tu zabity podczas inwazji krabów - zauważyła niedbale. - Spotkałam go tylko raz. Wydawał się nawet miły. Gawędziliśmy tu, w tym barze, na parę godzin przed jego śmiercią. Kapitan Manton. Tak się nazywał. Twarz z bliznami...

Harvey Logan poczuł przyspieszony puls. Lekko zbladł, lecz dobrze to ukrył. Nie mogła wiedzieć. Nikogo nie było w pobliżu, kiedy uderzył tego faceta i zaciągnął do pokoju.

- Bardzo mi go żal - ciągnęła. - Był naprawdę wspaniały. To jeden z tych, co podróżują z całym majątkiem w walizce.

Logan zeszywniał. Coś wiedziała? A może był to tylko blef.'

- Nigdy go nie spotkałem - odetchnął, ale jego serce

waliło teraz mocniej niż orkiestra, która właśnie zaczęła grać.

- Chyba już pójde - odmówiła następnego drinka i skierowała się do wyjścia. - Zobaczmy się jeszcze, Harvey.

Jego oczy stężały, kiedy za nią patrzył. Ktoś na pewno znalazł walizkę na plaży. Logan chciał ją odzyskać, jak tylko nadarzy się sposobność. Jeśli ma ją Carolina du Brunner, to sprawi mu to jeszcze większą satysfakcję. Miał ochotę ją zniszczyć. Odrzuciła go raz. Zemsta będzie naprawdę słodka.

Rozdział IX

Carolina du Brunner była zupełnie pewna, że nie widziano Franka Burke'a wychodzącego z walizką. Wypytała o to służbę hotelową. Może zresztą naprawdę zginął w wypadku. Nie to było ważne. Po prostu nie sądziła, że Klin był mordercą. Nie dlatego, że naprawdę zamierzała z nim uciec, ale denerwowała ją świadomość, że dzieli łóżko z zabójcą. Zastanawiała się, czy rzeczywiście ukrył pieniądze między sosnami o kilka jardów od swego domku. Postanowiła to sprawdzić.

Kiedy weszła do pokoju, Klin leżał na łóżku. Był podniecony i natychmiast oderwał ręce jak zawstydzony uczeń przyłapany przez nauczycielkę.

- Wiecznie nie zaspokoimy, prawda kochanie? - usiadła przy nim na łóżku podnosząc włosy, by mógł rozpiąć jej zamek.

- Zawsze kiedy jesteś w pobliżu - roześmiał się.

- Nie mieliście dziś szczęścia?

- Nie, i sędzę, że nie znajdziemy do pełni. Wtedy jednak nas już tu nie będzie?

- Tak - udawała z przekonaniem. - Będziemy daleko stąd. Ale jutro znowu z nim lecisz?

- Chyba tak - patrzył jak ściągała suknię. - To zależy. Może chciałabyś jutro wyjechać.

- Nie, jeszcze ze dwa dni - zsunęła jedwabną bieliznę. - Nie ma pośpiechu. Mamy przed sobą resztę życia. Cóż znaczą dwa dni?

Patrzył zafascynowany, prawie zahipnotyzowany, na doskonałe ciało; widział, z jaką łatwością się poruszała siadając na nim i z wolna się nań opuszczając.

Carolina du Brunner obserwowała spod napół przy-mkniętych powiek, jak Klin wstał i zaczął się ubierać. Zauważyła, że obudził się podniecony. Podekscytowało ją to. Instykt popychał ją ku niemu, ale logika nakazywała pozwolić mu odejść. Mieli wyruszyć za niecałą godzinę. Łatwo przekonałaby Klina, by patrol poleciał bez niego. Byłoby przyjemnie, ale plany zostałyby pokrzyżowane.

Zerknęła na nią, odstawiając krzesło spod drzwi. Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że jej rysujące się ostro sutki nie obudzą jego podejrzeń. Nic jednak nie zauważył i zaraz potem z ulgą nasłuchiwała jego oddalających się korytarzem kroków.

Wyjrzała przez okno z pewnej odległości, żeby jej nie dostrzegł.

Klin wyszedł przez główny hall, przeszedł ostrożnie po zburzonej werandzie i skręcił w lewo, na plażę.

Obserwowała go zanim nie zniknął jej z oczu. Nie interesował jej piękny poranek na Barbecue Bay, z promieniami słońca, które tańczyły na błękitnej i spokojnej tafli wody. Miała inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Ustawiała krzesło przy łóżku i usiadła zapalając papierosa. Mogła jeszcze poczekać, bo musiała być pewna. Nie chciała działać pochopnie. Wydawało się, że wszyscy spali, oprócz kilku marynarzy, którzy szli zmienić kolegów na wachcie.

w godzinę później uchwyciła niewyraźny dźwięk; monotonne brzęczenie, narastające z każdą chwilą. Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą na widok helikoptera, który mijał linię palm i zwiększał wysokość nad zatoką. Po paru minutach zniknął jej z oczu i na Hayman wróciła poranna cisza. Ubrała się szybko.

Jeden z marynarzy odwrócił się, widząc kobietę w obcisłej bluzce i dżinsach, która wychodziła z hotelu.

- Dzień dobry - wyszczerzył zęby, spoglądając na zegarek. - Ranny ptaszek z pani, co? Proszę uważać na kraby.

- To pan niech uważa - odparła chłodno - To pańska praca.

Patrzył za nią urażony. Kiedy po paru minutach zauważył też mężczyznę, odszedł w innym kierunku. Zdecydowanie nie podobało mu się na Hayman. Okolica była nieprzyjazna. W dodatku jeszcze nie widział krabów, a ha tym mu najbardziej zależało.

Carolina du Brunner ominęła ruinę domku Klina. Jeśli byli gdzieś tubylcy, nie chciała się na nich natknąć. Wismukłe sosny ostro rysowały się na tle błękitu nieba. Uśmiechnęła się do siebie. To było tu. Jej kochanek dokładnie określił, jak i gdzie ukrył pieniądze. Była podekscytowana. Potrzebowała dwudziestu tysięcy funtów. Przede wszystkim skończy z oszustwem. Już nigdy nie będzie musiała uciekać, kiedy zostanie rozpoznana. Ograny numer z „Caroliną du Brunner” już się zestarzał. przejrzeni ją w Monte Carlo, ale zdążyła w porę wyjechać. FBI podała jej rysopis do Interpolu. Ogłoszono też numery podrobionych czeków. Śmiała się, gdy czytała, że w zeszłym miesiącu zatrzymano prawdziwą Carolinę du Brunner w Nowym Jorku. Odróżnić je mógł tylko ktoś, kto znał je

bardzo dobrze. „Podobne, jak dwie krople wody” - pisano w gazetach.

Nie, pomyślała, to już nie potrwa długo. Było jej jednak żal. Lubiła przepych, mężczyzn, seks. Korzystając z łupu Franka burknęła stałaby się blondynką w okularach: po prostu Susie Thompson, była modelka. Ukryłaby się pod innym nazwiskiem w innym miejscu.

Między drzewami było ciemno. Brak poszycia wskazywał, że słońce rzadko przedzierało się przez gęste listowie. W każdym razie ułatwiało jej to zadanie.

Uklękała i zaczęła przeczesywać cienką warstwę igieł swymi długimi paznokciami. Wzdrygnęła się na widok pierzających mrówek. Nie znosiła ich.

Po ponad pół godzinie znalazła to miejsce. Nierówna powierzchnia jeszcze całkiem nie zaschła. Żałowała, że nie zabrała z sobą łopaty, ale nie chciała wzbudzać podejrzeń. Krzywiąc się zaczęła drążyć ziemię gołymi rękami. Z początku pracowała gorączkowo, jak zgłodniały pies, który przypomniał sobie u schowanej starej kości.

Szybko się jednak zmęczyła, bo mięśnie jej nie przywykły do takiego wysiłku.

Zdarła już prawie opuszki palców, kiedy ukazał się czarny bok walizki. Z wrażenia aż krzyknęła i szybko usunęła resztę piachu. Klin zakopał ją głębiej, niż się spodziewała.

Gorączkowo szukała uchwytu i połamanymi paznokciami otworzyła wreszcie zamki. Uniosła wieko i zatarła ręce. A więc to prawda. Były tu wszystkie pieniądze zrabowane osiem lat temu w banku.

Podniosła plik banknotów, ważąc go w rękach jeszcze nie знаła jego wartości.

Nagle zastygła w bezruchu. Nie widziała, ani nie słyszała nikogo, ale jakiś dziwne przeczucie ostrzegało ją, że nie jest

sama. Każdy nerw jej doskonałego ciała był tak sparalizowany, że nie mogła nawet odwrócić głowy. Pieniądze wypadły jej z rąk i ułożyły się z powrotem w walizce. Ujrzała go dopiero wtedy, kiedy stanął naprzeciw niej.

- Harvey - szepnęła. - Harvey Logan!

- No, no - wielki myśliwy stał nad nią ubrany w pomięty biały garnitur, który miał na sobie poprzedniego wieczoru. Potargane włosy i czerwone obwódki wokół oczu świadczyły, że czuwał w nocy.

- To bardzo rozsądnie z twojej strony, że wstałaś tak wcześniej, żeby pokazać mi gdzie ukryłaś moje pieniądze.

- Nie wiem, o czym mówisz - starała się być opanowana, grając rolę milionerki z Teksasu. - Pieniądze nie są twoje, a poza tym, jak śmiałaś mnie śledzić?

- Poprawka - powiedział. - Należą do mnie. Dał mi je człowiek który wyskoczył przez okno, łamiąc sobie kark, aby uniknąć kleszczy kraba.

- Zabiłeś go! - syknęła. - Jesteś mordercą!

Żałowała, że nie ma tu Klina. Ale była w sosnowym lesie tylko z Harveyem Loganem. Z tego miejsca jej krzyku nie usłyszy nikt w pobliskich chatach, a ten mężczyzna zawsze zabijał i z pewnością tą cechą charakteru miał we krwi, więc dłaczegóż miał się tylko ograniczać do polowania na dzikie bestie.

- Zastanów się - rozglądała się desperacko. - Nie mamy powodu do kłótni. Oboje wiemy, że nie mamy prawa do tych pieniędzy. Podzielmy je więc i zapomnijmy o całej sprawie.

- Nie jesteś w sytuacji, w której mogłabyś stawiać warunki - zmrzyzył oczy. - I nie możesz zwrócić się do policji, nie oskrzając siebie. Nie wiem, jak ten facet zdobył taką forszę, natomiast jestem pewny, że nie była to uczciwa droga. W tej sytuacji ja je zabieram.

Nie chcąc już udawać Caroliny du Brunner, dziewczyna postanowiła desperacko walczyć. Miała fortunę w zasięgu ręki i nie zamierzała jej oddać ani Loganowi ani nikomu innemu. Bez niej była skończona. Nie mogła wrócić do zawodu, bo natychmiast zostałaby zdemaskowana i aresztowana. Pozostawała tylko prostytutka. A wtedy nie mogłaby sobie wybierać kochanków, jak to do tej pory robiła.

Wzruszyła ramionami z wyraźną rezygnacją i zatrzasnęła zamki.

- W porządku - mruknęła podnosząc walizkę. Była nieporęczna i bardzo ciężka, ale mogła z nią biec.

Jej nagły ruch zmylił mężczyznę, który już wyciągał rękę po pieniądze. Obróciła się i odskoczyła od niego w tym samym momencie. Ruszyła biegiem. Trzydzieści jardów i będzie za lasem, na otwartej przestrzeni. Tam nie odważy się jej dotknąć.

Biegła dalej, słysząc za sobą jego ciężkie kroki. Już tylko tuzin jardów. Uda się jej. Uratował ją refleks.

Teraz była pewna, że jej prześladowca się zatrzymał. Ustały kroki, poddał się. Zwolniła, ale nie obejrzała się za siebie. Pragnęła wrócić jak najszybciej do hotelu, spakować się i odlecieć pierwszym helikopterem na Mackay.

Szła dalej. Wtedy dosięgło ją śmiertelne uderzenie w kark. Czowała, że pada, ale straciła przytomność, zanim dotknęła ziemi.

Harvey Logan stał nad bezwładnym ciałem dziewczyny. Leżała twarzą w dół z głową nienaturalnie wykręconą. Jej piękny kark szpeciła głęboka szarpana rana. Rzucił kawałkiem skały - bezbłędnie - skonstatował z zadowoleniem. Zawsze zachwycał się łapaniem ofiary w locie.

Nie żyła. To był pech, ale chyba i najlepsze rozwiązanie. Inaczej byłyby problemy.

Zastanawiał się nad ukryciem ciała, ale zrezygnował. Żeby je

zakopać potrzebował łopaty... i czasu. Spieszył się, bo jeśli odkryją martwą dziewczynę, na pewno go aresztują. Widział go marynarz, kiedy ją śledził. Rekonstrukcja tego, co się tu wydarzyło, nie zajmie glinom za wiele czasu. Im szybciej dostanie się na kontynent tym lepiej.

Pakując się, Harv'ey Logan żałował tylko jednej rzeczy. Bardzo chciał mieć pamiątkę, choćby kawałek pancerza. Zastanawiał się nad możliwością jego zdobycia, zanim opuści wyspę. To trofeum miało takie samo znaczenie jak zawartość walizki.

- Powinniśmy już wracać - Riordan usiłował przekrzyczeć hałas silnika. - Kończy, się paliwo. Lepiej nie ryzykować.

- Dobra - Davenport zerknął na mapę rozłożoną na kolanach. Był niezadowolony. - Dziewięć wysp i tylko dwie z mangrowcami, w dodatku zbyt małymi. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Pozostaje nadzieja, że jutrzejsza wyprawa będzie bardziej owocna.

- Uwaga - Klin opuścił lornetkę. - Tam coś jest. Może tylko rafa, ale myślę, że warto sprawdzić.

- Podejdź bliżej - rozkazał Shannon.

Riordan spojrzal na wskaźnik i zmienił kierunek. Za szybko tracili paliwo, a brak jednego galonu to wybór między bezpiecznym lądowaniem w bazie albo niebezpiecznym w zatoce. Posłuchał jednak.

- Jest duża - Davenport wstrzymał oddech obserwując rosnącą w miarę zbliżania się *wyspę*. -I... O Boże, tak, pełna mangrowców!

Patrzyli na nią z wysokości siedemdziesięciu stóp. Miała około pięciuset akrów. Ostre zakola jej brzegów otaczały rafy koralowe, które wystawiłyby na próbę umiejętności każdego żeglarza chcącego tam zacumować. Dużą część terenu

zajmowały moczary, tylko gdzieniegdzie prześwitywała woda za gęstym listowiem.

- Pamiętam tę wyspę - zwrócił się Klin do Davenporta.

- Byłem tu dziesięć lat temu, ale nie zdecydowałem się wylądować. To zbyt niebezpieczne. Nie pamiętam jednak bagien mangrowych.

- Mogą powstać w przeciągu kilku lat - odparł profesor.

- To dziwne rośliny. Ich szczepy przepływają czasem setki mil. Poruszają się tak rok albo i więcej. Często wyrastają im korzenie, podczas gdy góra wciąż dryfuje. Zwykle pojawiają się gdziekolwiek, gdzie znajdują dobre warunki. W ciągu roku lub dwóch wyrasta cały las.

Riordan obniżył lot i zawisł w powietrzu. Teraz, kiedy byli najwyżej dwadzieścia stóp nad nią, wyspa wydawała się tajemnicza i nieprzystępna. Nie mogli zejść pod listowie.

- Mamy resztki paliwa - krzyknął Riordan. - Nie podobało mu się to miejsce. Miał cichą nadzieję, że Shannon da rozkaz powrotu do bazy.

- Lądujemy - rozkazał Davenport.

- Gdzie? - twarz pilota wyrażała przerażenie. - Nie ma wolnego miejsca między zaroślami.

- Na brzegu - burknął profesor. Jest mnóstwo płaskich koralowców.

- Ale fala...

- Przypływ już się nie podniesie. Zresztą, nie będziemy tu dłużej niż parę godzin.

Helikopter zatoczył krąg i powoli wylądował na skale koralowej. Silnik zgasł i jedynym dźwiękiem był świst zwalnających obroty śmigieł i plusk fal przy brzegu.

- To jest to - Davenport w podnieceniu odwrócił się od reszty. Na jego twarzy malowało się napięcie i nadzieja.

Miejsce wydawało się idealne.

- Dokąd pójdziemy? - Shannon nie otwierał drzwiczek, wyraźnie się wahając.

- Niczego się nie dowiemy, jeżeli będziemy tu siedzieć - profesor sięgnął poza nim i pociągnął klamkę. - Wyjdziemy i rozejrzemy się trochę po tej mangrowej dżungli. Pilot może zostać. Jeśli kraby rzeczywiście tu są, szybko zauważymy ich ślady. Weźmy broń i założymy gumki. Możemy tu spotkać wszystkie gatunki gadów.

Wysiedli i nałożyli obuwie. Riordan podał im z góry strzelby. Był zadowolony, że nie musiał iść z nimi.

- Daj nam parę godzin - rzekł Davenport. - Jeśli nie wrócimy do tego czasu, połącz się z bazą i podaj namiary. Nie wychodź z helikoptera w żadnym wypadku.

- Na pewno nie - mruknął pilot pod nosem i usiadł wygodnie obserwując kolegów, którzy zbliżali się do ciemnej, nieprzystępnej ściany drzew.

Zamknął drzwi. Tak czuł się bezpieczniej.

Pozostała dwójka była wyraźnie zadowolona, że Cliff Davenport objął przewodnictwo. Nawet Klin się ociągał. Milczeli.

Weszli do lasu przy wąskim strumyku i szli jego brzegiem. W cieniu odgarniali gałęzie, tworząc ponad nimi gęste sklepienie.

Woda była głęboka zaledwie na kilka cali, a dno muliste, gdzieniegdzie najeżone koralami. Davenport ułamał kij i badał powierzchnię przed sobą, nie chcąc trafić na dziurę; miejscami było niebezpiecznie ślisko. Grząskie błoto oblepiało im buty.

Zagłębiali się coraz bardziej w ciemną gęstwinę. Nie można było niczego dojrzeć dalej niż na kilka jardów. Na wodzie pojawiały się miejscami ciemniejsze plamy.

- Wywołuje je kwas taninowy z mangrowców - szepnął Cliff.

Przytaknęli bez słowa. Nad miejscem ciążyła niesamowita atmosfera. Było jak wielkie sanktuarium, w którym stąpało się na palcach i porozumiewało szeptem.

Posuwali się wolno badając bagno po obu stronach wody, szukali śladów po krabach. Ale nie zauważyli obecności wielkich szczypiec. Klin westchnął i stwierdził, że tracili czas; wrócił myślami do Caroliny du Brunner. Obraz jej nagiego ciała nie podniecał go jednak. Ponure otoczenie nie sprzyjało erotycznym nastrojom.

- Co.to? - Shannon zatrzymał się tak nagle, że Klin wpadł na niego.

Przystanęli nasłuchując. Z oddali dochodził huk morza, ale na bagnach nie panowała już martwa cisza. Usłyszeli wyraźne szczękanie: k l i k - k l a k , k l i k - k l a k .

- To tylko muszle skorupiaków - powiedział Davenport spokojnie. - Posłuchajcie odgłosów. To małe kraby umykają do legowisk. Jesteśmy niedaleko od serca wyspy. Tutaj wszystko żyje i rodzi; sanktuarium w sanktuarium. Dźwięki są tłumione przez listowie. Prawdopodobnie jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy tu dotarli. Nikt zresztą nie ma powodu, by zakłócać ten spokój.

Szł dalej już bardziej ostrożnie. Kanał rozszerzał się ostrym lukiem i naraz dostrzegli wielkie rozlewisko. Woda była tu rudobrazowa, a gałęzie nad nią tak gęste, że promienie słońca z trudem się przez nie przedzierały.

Boże, jaki tu smród - zakaszał Shannon i splunął. - Jak w jakimś cholernym ścieku.

- Ten kanał ciągnie się dalej za rozlewiskiem - wskazał Cliff. - Musimy wyjść na brzeg i okrążyć je. Nie wiadomo jak tu głęboko.

- Czy jest jakiś sens iść dalej? - spytał Shannon. - Przebyliśmy piekielną drogę i nie zauważyliśmy śladów tych potworów. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tracimy czas.

- Moglibyśmy przynajmniej zobaczyć dokąd prowadzi ten kanał - Davenport już wyłaził z wody. - I jeżeli...

K l i k - k l a k , k l i k - k l a k .

Dźwięk był teraz znacznie głośniejszy. Przykucnęli cicho pod zwisającym nad bagnem drzewem. Profesor zauważył ostrygi przyczepione do korzeni. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak część drzewa. Było tu mnóstwo zjawisk, które zaintrygowałyby botanika, ale on ledwie na nie zerknął. Uniósł ostrzegawczo palec. Żaden zwykły stwór morski nie narobiłby takiego hałasu. Gałęzie trzaskały, słychać było chrobot i chlupanie, coś wyrwało z korzeniami całe drzewa.

- Schylcie się - syknął Davenport. - Nadchodzi!

Przysiedli na miękiej ziemi tuż pod drzewem, ze wzrokiem utkwionym u wylotu kanału po przeciwnej stronie.

Po paru minutach pojawił się wielki krab. Przejście było dla niego za wąskie, więc torował sobie drogę szczypcami.

- Wracamy, wracamy - syczał Davenport.. - Tak daleko w las, jak tylko się da, i żeby nas nie zauważył. Prędko. Idzie kanałem do morza.

Brnęli w bagnie, nie zważając na cuchnącą wodę, która sięgała im do bioder. Dopiero po przebyciu dwudziestu jardów profesor dał znak, aby się zatrzymać.

Krab szedł teraz równoległe z nimi i choć zasłoniły go częściowo gałęzie, nie mieli trudności, żeby iść za nim. Drzewo, pod którym jeszcze przed chwilą siedzieli, zostało wyrwane z korzeniami i odrzucone na bok. Kierował się prosto do strumienia, a woda falami wylewała się na brzegi. Nie zatrzymywał się. Jego ruchy były zdeterminowane, z ogromną wytrwałością i desperackim uporem powracał do morza.

Shannon otarł spoconą twarz wierzchem dłoni.

- Przyszedł chyba prosto z piekła - mruknął. - Jezu, co za

olbrzym. Jest co najmniej dwa razy większy od tego, któregośmy pokroili, profesorze.

- Tak - Davenport miał suche usta. - I to mnie najbardziej martwi. Tamte kraby, miały swego przywódcę. Na- zwaliśmy go „krabi król”. W ostatniej bitwie, kiedy spryskano go parakwatem, ledwo dowlókł się do wody przysiągł- bym, że zdechł. Jednak ten potwór, którego właśnie widzieliśmy jest jego żywym odpowiednikiem. Powiedziałbym nawet, że nie różni się od tamtego. Przecież to nie może być on, chyba, że...

- Chyba, że co?

- Chyba, że tamten wielki sukinsyn nie był samcem! Jest to jedyne logiczne rozwiązanie. „Krabia królowa” taka sama jak wśród pszczół: kiedy jedna umiera, druga zajmuje jej miejsce. Podobnie jest u mrówek. Ich przywódczynie rodzą się z darem superinteligencji, daleko wyższej niż ludzka. Ale mrówki nie są duże, a te potwory są olbrzymami. Posiadają wzrost gigantów, spryt i determinację.

- Ale nie było śladów w kanale - rzekł Klin. - Krab musiał sobie dopiero torować drogę. Widzielibyśmy...

- Z tego bagna do morza jest na pewno sto innych dróg - odparł Davenport. Jestem przekonany, że to jest miejsce, którego szukaliśmy. Królowa robiła rekonesans przed pełnią, zanim wszystkie pozostałe wyjdą na brzeg.

Nasłuchiwali. Krab najwyraźniej był już daleko

- Chodźmy - odetchnął Cliff. - Musimy wracać. Dzięki Bogu, że nie widziała nas. Możemy sprowadzić bombowce i rozwalić te potwory. Wracamy brzegiem. Królowa przynajmniej usunęła z drogi mangrowce.

Ruszyli. Gęstwina, znacznie przerzedzona, przepuszczała teraz promienie słoneczne. Nie poruszali się jednak szybko, ponieważ co kilka jardów wspinali się na przewrócone drzewa a czasem wchodzili do wody, by ominąć większe konary. Szum fal się

wzmagają, byli coraz bliżej morza.

- Będę najszczęśliwszy, kiedy się stąd wreszcie wydostaniemy
- mrucał Shannon. - Tylko niech nikt nie każe mi iść tam znowu. I tak do końca życia będę miał koszmarne sny.

- Proszę się nie martwić - zaśmiał się Davenport - To koniec poszukiwań. Bombowce zrobią resztę.

Po paru minutach zobaczyli morze. Błękitne niebo odbijało się w wodzie, spienione fale w jasnym, migotliwym świetle, rozbijały się o koralowce.

- No, jesteśmy - trzy ubłocone postacie wydostały się na twardy grunt. Nagle stanęli jak wrzyci.

- Helikopter odleciał!- wrzasnął Klin.

- Nie - Davenport wskazał na linię brzegu. - Ale to, co pozostało i tak nie przedstawia żadnej wartości. Chodźcie!

Pobiegli zmęczeni, mozolnie wdrapując się na skały koralu. Ich helikopter, który był jedyną szansą na wydostanie się stąd, stał się wrakiem.

- Ocalały tylko śmigła, jakby ktoś odłożył je na bok zanim rozpoczął dzieło zniszczenia. Kabina została najpierw przepołowiona, a potem zmiażdżona strasznym ciężarem.

Nie było śladu Riordana. Shannon skoczył między powyginane części maszyny, a kiedy się w końcu wyprostował, dygotał jak w febrze. Zwymiotował dwa razy nim zdołał przemówić.

- Tak jakby ktoś zarzynał tam świnię - wyjąkał. - Wszystko we krwi. Nie ma jednak Riordana. Ta pańska królowa go dostała, Davenport.

Z ponurą twarzą Davenport zaczął przeszukiwanie wraku. Kiedy wrócił, w jego głosie nie było już dawnej pewności ani ożywienia.

- Radio strzaskane - powiedział.

Shannon zaklął. Klin tylko odwrócił się i popatrzył na morze.

- A więc nie tylko utknęliśmy w tym przeklętym miejscu, ale nie możemy nawet poprosić o pomoc.

- Będą nas szukać - Shannon usiłował być optymistą, choć jego głos zabrzmiał ponuro.

- Mogą szukać całymi tygodniami, nie natykając się na nas - profesor usiadł na kawałku żelastwa. - Tej wyspy nie ma nawet na mapie. Oficjalnie nie istnieje. A poza tym, za kilka dni zaroi się tu od krabów morderców. I, cholera, nic nie można zrobić.

Rozdział X

- Nie mogę powiedzieć, żeby mnie zachwycała dieta złożona wyłącznie z krabów i ostryg - Shannon żuł powoli, starając się wyobrazić, że zajada befsztyk.

Albo to, albo głodówka - odparł Davenport. - Słyszałem gdzieś, że dawniej więźniowie dostawali szczurze mięso. Biorąc to pod uwagę, mamy więcej szczęścia.

- Nie będziemy chyba spali w dżungli? - Shannon wskazał głową na mangrowe bagna za sobą.

- Nie - uśmiechnął się słabo profesor. - Dostalibyśmy gorączki, albo pożarłyby nas żywcem owady.

- Lub kraby - dodał ponuro Klin.

- Nie sądzę, żeby wyszły na brzeg jeszcze tej nocy - Davenport próbował rozgnieść skorupę małża kawałkiem skały. - Wybierzemy najbardziej osłonięte miejsce między koralowcami, ale i tak jeden z nas będzie musiał trzymać wartę. Kolejno po dwie godziny. Bóg wie, ile wytrzymamy. Szanse na to, że nas odnajdą są znikome. Nie mogę sobie tylko darować, że tracimy wspaniałą okazję na pozbycie się tych przerośniętych bestii. Wszystkie zgromadziły się na 1

niewielkiej przestrzeni. Można ją łatwo zbombardować.

Zapadła cisza. Słońce zachodziło za wyspą, wydłużały się cienie, przejmowała chłodem wiejąca od morza bryza.

- Lepiej poszukajmy miejsca na nocleg. Cholera, pomyślcie tylko, że królowa krabów pozostała na wyspie. Riordan z pewnością był zbyt zajęty obserwacją morza i nie spodziewał się ataku z lądu. Prawdopodobnie miał zamknięte drzwi i nie słyszał kiedy nadeszła. Może nawet się zdrzemnął. Jak się to stało, nigdy się nie dowiemy, tak jak i śmierć Johnsona pozostanie tajemnicą.

- Jest wiele rzeczy niewyjaśnionych, które być może wiążą się z obecnością tych krabów w oceanie - zamyślił się Klin. - Nie wiemy, dlaczego znikają bez śladu statki i co się dzieje choćby w Trójkącie Bermudzkim.

- To całkiem możliwe - przytaknął profesor. - Tak jak wszyscy będą się zastanawiać nad naszym zniknięciem. To miejsce będzie chyba najlepsze na nocleg. Ściana z koralu zabezpiecza nas od morza, a nadto mamy dobrą widoczność na wszystkie strony. Ta półka zaś powinna nas chociaż częściowo ukryć.

Przysiedli na chwilę w małej kotłince. Na razie nikomu nie chciało się spać, ale wiedzieli, że zmęczenie ich wkrótce pokona.

Zmrok zapadł szybko. Po jakimś czasie pojawił się księżyc. Za kilka nocy pojawi się pełnia, a z nią i kraby.

- Obejmę pierwszą wartę - zgłosił się Klin wstając i opierając się o skalną półkę.

- Obudź mnie za dwie godziny - Davenport wyciągnął się na nierównej, twardej powierzchni. - Shannon może wziąć ostatnią.

- Jutro rozpalimy ogień - powiedział Klin. - Zawsze może się pojawić jakiś statek czy samolot. Te mangrowce będą się dobrze palić. Są w każdym razie prawie suche, jak drzewa pozbawione liści.

Cliff Davenport usiadł gwałtownie.

- O Boże - westchnął. - Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

- Wydaje się logiczne, żeby dawać sygnały świetlne - Klin poczuł się dumny, że wymyślił coś wcześniej niż jego uczonego towarzysz.

- Nie myślę tylko o sygnałach - wydusił profesor. - To sposób w jaki, przy odrobinie szczęścia, możemy zniszczyć te stwory. O g i e ń jest bronią, której musimy użyć.

- Nie zgadzam się - powiedział Sliannon. - Jeśli boją się ognia, po prostu zawróć do wody i odpłyną.

- Nie, jeżeli będą otoczone ścianą płomieni, przez którą nie będzie przejścia.

- Nie możemy ich poprosić, żeby poczekały zanim zbudujemy stos wokół nich.

- Nie będziemy musieli - krzyknął podniecony Davenport. - Bo już tutaj będą, składając jaja w bagnie. Jeśli zostawimy wolne przejścia, wystarczy tylko podpalić drewno, kiedy kraby znajdą się w środku. Ogień rozprzestrzeni się i zatrzyma je w pułapce. Człowieku, już słyszysz ich syk.

- To ciężka sprawa - Klin nie podzielał jego entuzjazmu. - Tylko nasza trójka do budowania stosów i tylko kilka dni na wszystko, bez siekier i innych narzędzi. A nawet jeśli się nam uda, to jak wydobędziemy się z tej pieprzonej wyspy?

- Jeżeli nie będzie już krabów - odparł spokojnie profesor Cliff Davenport - nie będzie to miało znaczenia, bo cóż znaczą trzy żywe istoty?

Kłopoty pułkownika Clintona zwiększały się z godziny na godzinę. Westchnął, ledwo spojrzał na oficjalny nakaz aresztowania Susan Thompson, alias Caroliny du Brunner i oddał go jasnowłosemu mężczyźnie o przenikliwych, niebieskich oczach, który siedział naprzeciw niego w prowizorycznym sztabie armii.

Widziałem tę dziewczynę - powiedział detektywowi Gouldowi. - chyba została w hotelu.

- No, już nie - odparł ten obojętnie. - W tej chwili leży martwa w sosnowym lasku, trzysta jardów stąd. Zamordowana. Jest tam mój asystent. Potrzebuję pańskiej pomocy, żeby otoczyć las zanim dostanę posiłki z kontynentu.

Pułkownik, oparł się o krzesło. Nie żałował Susan Thompson, ale myślał o nowych komplikacjach. trzech mężczyzn zaginęło wraz z helikopterem, olbrzymie kraby mogły zaatakować znowu bez ostrzeżenia a teraz musiał asystować policji, ponieważ ktoś jeszcze popełnił morderstwo.

- Poinformowano nas, że na Hayman stosuje znane wybiegi i obaj z sierżantem Royce'em przylecieliśmy, żeby ją aresztować. Marynarz, który miał wtedy wachtę twierdzi, że wyszła z hotelu wczesnym rankiem. Przed nią wyszedł ten facet. Klin.

- Nie ma go - Clinton burknął ze złością. - Poleciał z dwoma innymi na poszukiwanie mangrowych wysp.

- Po kilku minutach wyruszył za nią Logan, wielki myśliwy. I druga sprawa, pułkownik. Jeszcze na Prosperine identyfikowaliśmy w kostnicy ciała zabitych. Są tam zwłoki faceta, który nas interesuje. Zameldował się jako kapitan Manton, ale rzeczywiście nazywał się Frank Burke. Siedział za napad na bank. Nie odnaleziono dwudziestu tysięcy funtów, które miał przy sobie. Zależy nam na tym. Najpierw jednak chciałbym przesłuchać Logana. Nie widziano go w hotelu od wczoraj. Tamtego ranka wrócił po godzinie i wymeldował się.

- No - uśmiechnął się pułkownik Clinton. - Jestem w stanie rozwiązać kilka pańskich problemów, inspektorze. Proszę pójść ze mną. Myślę, że zainteresuje pana to, co pokażę.

Zaintrygowany, inspektor wyszedł z nim. Po chwili doszli do baraku. Drzwi były zamknięte na kłódkę, a wejścia pilnował uzbrojony strażnik. Zasalutował kiedy podeszli, potem wyjął klucz z kieszeni i otworzył. Drzwi otworzyły się szeroko i zobaczyli wysokiego mężczyznę z kozią bródką, który siedział na

odwróconej skrzyni. Był wyraźnie przygnębiony. Nie podniósł nawet głowy i cały czas patrzył w ziemię.

- chyba jego pan szuka, inspektorze - pułkownik był bardzo z siebie zadowolony. - Myślę, że to jest człowiek, z którym pan chciałby porozmawiać.

- Harvey Logan! - Gould nie usiłował ukryć zdziwienia.

- Jak u licha udało się go panu zamknąć, pułkowniku?

- Już od kilku dni jest naszym utrapieniem - rzekł Clinton. - Upiera się, że ten olbrzymi krab, który został zastrzelony z niszczyciela, należy do niego. Wczoraj wieczorem znów zażądał szczypiec, jako trofeum. Oczywiście, nie możemy oddać niczego, czym interesuje się nauka. Profesor Davenport, jeden z zaginionych, nie dokończył jeszcze sekcji. A ten facet utrzymuje, że stwór jest jego, i że wyjeżdża z wyspy następnym helikopterem. Stał się tak gwałtowny, że trzech moich ludzi musiało go uspokajać. Potem, w czasie walki, walizka nagle się otworzyła. Ma pan prawo tylko raz zgadnąć, co w niej było.

- Najśłodsze dwadzieścia tysięcy - zaśmiał się Gould.

- No to pogawędzę z naszym przyjacielem i może wyjaśnimy parę zagadek.

- Zostawiam więc pana - Clinton odwrócił się od drzwi.

- Pieniądze przewieziemy na Mackay pod eskortą.

Gould skinął głową i wszedł do baraku zamykając za sobą dokładnie drzwi.

- Nie wiem dokąd, u diabła, polecieli - warknął Corder, kiedy wydawca zadzwonił do Royal Hayman Hotel po raz trzeci tego dnia. - Po prostu wylecieli i nie wrócili.

- Dowiedz się i zadzwoń.

- A jak, do cholery, mam to zrobić? Władze zwyczajnie się opieprzają. Wysłali samoloty zwiadowcze, ale wydaje się, że tamci podzielili los Johnsona.

- Opublikujemy główny artykuł: „Profesor Davenport i jego towarzysze padli ofiarą morderczych krabów” albo coś podobnego.

- Proszę bardzo - mruknął Corder. - Ale bez mojego nazwiska. Wydarzyło, się tu jeszcze parę innych ciekawych rzeczy, poza historią z krabami.

- Na przykład?

- Ta dziewczyna, która podawała się za du Brunner. Znalaziono ją martwą w lesie. Wojsko zatrzymało faceta w cywilnym areszcie. Został oficjalnie oskarżony o morderstwo. Mam zaklepany wywiad. Zdam ci później sprawozdanie.

- Interesujące - wydawca nie był zachwycony. - Ale zależy nam na tym krabie. Im większy tym lepszy. To nasz najlepszy numer od lat. Te kraby to pieniądze. Załatw mi jakies zdjęcie tego zabitego.

- Jeszcze nie pozwalają.

- No, zdobądź je jakoś. Spróbuj się zakraść tam, gdzie ukryli to cielsko.

- chyba żartujesz - odparł Corder. - Ci żołnierze nie *będą* się patyczkować. Wejdz im w drogę, a zamkną cię w pieprzonej komórce, sześć na sześć, bez okien, ale za to ze strażnikiem za drzwiami. W ten sposób łajdaku, nic nie dostaniesz.

- No dobra - westchnął wydawca. - Pracuj nad tajemnicą Davenporta, zdobądź cokolwiek, chociaż cokolwiek.

Połączenie zostało przerwane.

Corder wyszedł z hotelu. Trwała dyskusja między grupą turystów, którzy chcieli się kąpać, a marynarzami usiłującymi ich zatrzymać. Na plaży było więcej ludzi niż w ostatnich dniach. Życie na Hayman wracało do normy, chociaż według niego o wiele za szybko. Na pewno zostanie odwołany, jeśli kraby nie pojawiają się ponownie. Morderstwo najwyraźniej nie

usprawiedliwi jego obecności w raju milionerów.

Trzej mężczyźni nie spali do świtu. Teraz z ulgą rozprostowali obolałe kości. Koral, jak stwierdzili, nie był najwygodniejszym miejscem do leżenia.

Zjedli na śniadanie kilka mniejszych krabów, które Klin wyłowił z bagien. Nie było to trudne - powrócił po dziesięciu minutach. Łatwym łupem stawały się także ostrygi.

- Jeśli kiedykolwiek wydostanę się z tej wyspy, do końca życia nie wezmę do ust żadnego cholernego małża - burczał Shannon.

- Bardziej prawdopodobne, że one zjedzą ciebie - parsknął Klin, a oficer patroli spojrział nań spode łba.

- No dobra, musimy ścinać drzewa - Cliff wyrzucił resztek jedzenia do wody. - Ja zaczynam. Pójdę pierwszy i miłą od brzegu będę zbierał drewno mangrowe. Klin może rozpocząć od tego miejsca i posuwać się w moim kierunku. W międzyczasie ty, Shannon, próbuj robić to samo z lewej strony. Nie wiem, ile czasu nam to zajmie. Budujcie stos tak, żeby był widoczny z brzegu. Kiedy kraby wyjdą składać jaja, będziemy musieli odnaleźć wszystkie w świetle księżyca i podpalić.

- Teoretycznie wszystko gra - powiedział Klin. - Przynajmniej mamy się czym zająć. A co ze znakami świetlnymi dla samolotów czy statków?

- chyba lepiej o tym zapomnieć - zamyślił się Cliff. - To dodatkowa praca i strata czasu. Jeden z nas musiałby wracać tu co chwilę, żeby podsycać ogień. Poza tym, jeśli królowa krabów wyjdzie na brzeg, zapach dymu może zmienić jej plany, a tego nie chcemy. Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas będziemy odizolowani. A gdyby pokazał się samolot, zaczęliśmy machać koszulami

Shannon i Davenport rozeszli się. Obaj zabrali strzelby. Oficer gładził broń i przypomniał sobie czas, kiedy mógł zostać łowcą kangurów. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie uległ dziecięcym marzeniom.

Davenport obejrzał się przez ramię. Tamci go już nie widzieli. Po raz pierwszy poczuł się osamotniony. Tylko trzech mężczyzn podjęło zmagania z takim przeciwnikiem, mając trzy strzelby i pudełko zapalek jako całe uzbrojenie. Uświadomił sobie całą ironię sytuacji. Spędził lata na naukowych badaniach, znał metody walki z krabami, zakładał nawet wsparcie ze strony wojska, a teraz wszystko przebiega inaczej, niż planował. Musiał się przyznać przed samym sobą, że mieli małe szanse na zwycięstwo. Jego plan był zbyt prosty. Różne rzeczy mogą się zdarzyć: kraby mogą się nie pojawić, nagle burza ugasi płomień w ciągu kilku minut, drewno nie rozpali się tak łatwo, jak się spodziewał, ogień może się nie rozprzestrzeniać. Tak czy inaczej mógł zastosować tylko ten sposób.

Najbardziej martwił się o Pat. Większość kobiet nie przeczuwa niebezpieczeństwa. Ona tak. . Zawsze wiedziała wcześniej. Usłyszała już pewnie o zaginięciu helikoptera i zamartwiała się dniem i nocą. Gdyby tylko mógł ją zawiadomić. Wtedy jednak nie tkwiłby tutaj, na tej przeklętej wyspie. Siedziałyby bezpiecznie w biurze, planując atak powietrzny.

Stwierdził, że oddalił się już wystarczająco daleko i zaczął budować pierwszy stos. Drewna szukał na bagnach, w promieniu kilku jardów, co chwilę grzeżnąc w błocie.

Był zaskoczony, gdy odkrył, że radzi sobie bez siekiery i noża. Na pewno ułatwiłyby pracę, ale nie były niezbędne. Cięższe gałęzie łamały się łatwo w rękach. Zebrał naręczę i ułożył na skraju bagna. Wracił kilka razy, zanim stos urosł do

czterech stóp. wierzchołek sięgał do pierwszych gałęzi pobliskich drzew. Miał nadzieję, że kiedy je podpali, ogień rozprzestrzeni się na cały las.

Przeszedł pięćdziesiąt jardów i zaczął pracę od nowa. Pierwszy stos zajął mu około dwadzieścia minut, a do ułożenia pozostało ich jeszcze bardzo wiele. Zastanawiał się, jak radzą sobie tamci. Najważniejsze, żeby linia ognia nie zawierała przerw. Nie mogli dopuścić do ucieczki krabów.

W południe zrobił krótki odpoczynek zjadając złapanego kraba. Był spragniony, a słodkiej wody nie mieli. Nawet stawy w głębi dżungli zawierały tylko morską wodę. Mięso, jakkolwiek wydawało się wstrętne, było jednak soczyste. Może wytrzymają przez następne dni. Potem nie będzie to już miało znaczenia.

Na godzinę przed zmierzchem wrócił do „obozu” przy strzaskanym helikopterze. Klin i Shannon już tam byli.

- Mamy szczęście - mruknął Klin. - Około trzydziestu jardów stąd jest zbiornik czystej wody między skałami. Nie duży, ale woda świeża, deszczówka, jak sądzę, z ostatniej burzy. Zwisająca nad nim skała nie dopuszcza promieni słonecznych uniemożliwiając wyparowanie wody.

- Jesteś genialny - mruknął Davenport.

- To nie ja - Shannon je znalazł - rzekł rybak. - My już ugasiłmy pragnienie, teraz pańska kolej. Tylko spokojnie. Proszę nie próbować się tam myć czy inaczej zanieczyszczać wodę.

- Nie wiem; czy będę jeszcze kiedyś się mył - krzyknął profesor, uświadamiając sobie, że pewnie nigdy już nie będzie.

Kiedy napił się do syta stwierdził, że niewielkie zagłębienie zawierało blisko pięć galonów wody. Każdego dnia część wyparuje. Wystarczy, jeśli przetrwają do przyjscia krabów.

Klin zebrał około tuzina ostrzy z korzeni mangrowych i zjedli

je na kolację. Mięso nie było zbyt smaczne, ale urozmaicało pożywienie.

- Dziś ja jako pierwszy obejmę wartę - powiedział Shannon i obaj nie próbowali go od tego odwieść. Byli wykończeni, a Davenport twierdził, że stosami drewna pokryli ćwierć bagien. Oznaczało to, że muszą jeszcze przez trzy dni pracować. Wszystko zależało od tego, czy kraby zaczekają do pełni, czy wyjdą na brzeg wcześniej. Tego nie można było przewidzieć. Zaatakowały przecież Hayman, kiedy nie powinny przejawiać żadnej aktywności.

Cliff Davenport zasnął po kilku minutach, wyciągnięty wzdłuż koralowca. Nie czuł nawet jego nierówności.

Wydawało mu się, że minęło ledwie parę sekund, kiedy poczuł szarpnięcie za ramię.

- Sza! - syknął Shannon i profesor od razu wiedział, że nie była to zmiana warty. Klin już wstał i wyglądał zza koralowej półki. Stało się coś złego.

K l i k - k l a k , k l i k - k l a k .

Mamrocząc, Davenport stanął za Klinem.

- Widzi pan? - szepnął mężczyzna.

Słabe światło księżycy oświetlało cały brzeg, tylko najbliższe drzewo pozostawało w cieniu. Davenport czuł, jak strach chwyta go za gardło. Mniej więcej o pięćdziesiąt jardów od nich zobaczył trzy olbrzymie, niezdarne sylwetki, wlokące się w stronę bagien. Były w nich coś nienaturalnego. Poruszały się z wyraźnymi wysiłkiem zatrzymując się co kilka jardów jakby dla zebrania sił. Były o wiele większe od królowej i miały jakiś dziwaczny kształt. Dopiero kiedy zobaczył postać o dwóch głowach, zrozumiał.

- Do licha - mruknął. - Z a c z ę ł o s i ę s k ł a d a n i e j a j ! S p ó z n i l i ś m y s i ę !

Tak było. Trzy kraby niosły swoje samice na grzbietach, co utrudniało im ruchy. Samice ledwo utrzymywały się w tej pozycji. Jedna ześlizgnęła się i samiec przystanął, by mogła wspiąć się z

powrotem.

Wkrótce dziwaczny pochód zniknął w ciemnościach. Słyszeli trzask łamanych gałęzi i wrywanych z korzeniami drzew. Odgłosy stopniowo słabły, a kraby zanurzały się coraz bardziej w mangrowy las. Potem zapadła cisza.

Cliff obserwował teraz brzeg i fale, które nieustannie obmywały piasek i koralowce. Nic się jednak nie działo.

- Ile z nich widziałeś zanim mnie obudziłeś? - spytał Shannona.

- Tylko te trzy, a raczej sześć. Boże, co za obrzydlistwo.

- Instykt przywiódł je prosto na bagna - mruknął Cliff. - Nie krążyły nawet, by znaleźć wygodny kanał. Oto jak silny jest popęd, Ale dlaczego tylko trzy? Królowa jeszcze się nie pojawiła.

- Mogły przecież wyjść w różnych miejscach - rzekł Klin. A wtedy stąd nie można ich zobaczyć.

- Racja - odparł profesor. - Ale wtedy zobaczylibyśmy ich więcej niż sześć. Mamy tu dobry punkt obserwacyjny. Lecz wszystko, co możemy zrobić to patrzeć i czekać.

Żaden z nich nie spał do świtu. Trwali ze wzrokiem utkwionym w przybrzeżne fale. Mordercy z głębin nie pojawili się jednak, aż do świtu.

- Cóż - Davenport potrząsnął głową. - Mogę się tylko domyślać, co się dzieje. Nie wszystkie samice składają jaja w tym samym czasie. Ten proces dopiero narasta. Problemem jest, czy kraby wrócą do morza w tym samym czasie. Jedno jest pewne. Musimy naprawdę harować nad przygotowaniem ognisk, nie zapominając, że kraby są już na bagnach. Co najmniej sześć, które widzieliśmy, a prawdopodobnie więcej. Miejmy nadzieję, że ich stan w pewnym stopniu je unieruchomi, szczególnie w ciągu dnia, ale musimy pamiętać, że niebezpieczeństwo wzrosło. Nie zapuszczajcie się na bagna dalej, niż to konieczne i zachowujcie się możliwie najciszej. Zjedźmy coś szybko i zabierajmy się do roboty. Może trzeba będzie rozpaść ogień przed zakończeniem pracy i

mieć nadzieję, że będzie się rozprzestrzeniać. Wierzę że to nie będzie konieczne, ale wszystko może się zdarzyć.

Cała trójka pracowała wściekle przez cały dzień, nie zwracając uwagi na obolałe kości i przemęczenie. Kiedy wrócili wieczorem, zauważyli, że pracowali tego dnia w dwójnasób.

- Może jutro uda się nam skończyć - Davenport oparł się lekko o ścianę koralowca. - Z drugiej strony, możemy już nie mieć szansy. Boże, szkoda, że obaj nie palicie. Mielibyście własne zapalki i zapalniczki. - Wyjął z kieszeni resztę zapalek i zaczął je liczyć. Było pięćdziesiąt. Podzielił je na trzy kupki i podał towarzyszom.

- Nie zmarnujcie ich. Najlepiej podpalić jedną gałąź i rzucić je na pozostałe.

Patrzyli na siebie spod ciężkich powiek. Z trudem trzymali się jeszcze na nogach.

- Dziś ja będę pierwszy. - Klin wstał. - I nie kłóćcie się.

Nikt nie zaprotestował.

Księżyc pokazał się prawie w pełni, rozjaśniając plażę lekką poświatą. Klin spoglądał na morze, myśląc o Carolinie du Brunner i zastanawiał się, co robiła. Dziwnie się tym nie przejmował. Podjął już decyzję. Właściwie wiedział to wcześniej, kiedy jeszcze pracował. Nawet jeśli wróci, co nie było takie pewne, nie wyjedzie z nią. To nie miałoby sensu. Nic ich ze sobą nie łączyło poza seksem. Stała się pięknym wspomnieniem teraz, kiedy był poza jej hipnotycznym wpływem. Nie podniecało go nawet to, że myślał o niej. Miała ten urok, że mówiło się jej rzeczy, których nie powiedziałoby się żadnej innej kobiecie. Na przykład to, że ukrył dwadzieścia tysięcy funtów, które do niego nie należały. Nie można było mieć tajemnic przed taką dziewczyną, a mężczyzna potrzebuje tajemnic.

Nagle zauważył coś o pięćdziesiąt jardów od brzegu.

Przyjrzał się uważniej. Wyglądało to jak ogromna, narastająca fala, która jednak nie płynęła do przodu, ale po prostu dryfowała i była znacznie ciemniejsza od wody. Coś innego niż fala, szerokie na kilkaset jardów, powoli się zbliżało.

Wtedy je zobaczył. Olbrzymie kraby nie płynęły - utrzymywały się na powierzchni, niepewnie ucepione grzbietów samców. Rozejrzał się wokół. Niektóre były już na brzegu, poruszały się niezadarnie i zatrzymywały, by ich partnerki mogły usadzić się wygodnie.

Szły zewsząd; unosiły się na falach i wlokły się po plaży, odpowiadając na zew, którego nie mogły zignorować.

Potrząsnął Davenporta i Shannona szepcząc:

- To już. Jest tu ich cała gromada!

- Idą zwartym szykiem - Davenport ocknął się z miejsca, obserwując sytuację. - Jest ich dziesięć razy więcej, niż się spodziewałem, a kierują się prosto na nas, na dół, pod półkę! Módlcie się, żeby nas nie zauważyły.

Stłoczyli się jakoś w niewielkim zagłębieniu tyłem do nadciągających stworów. Rozpoznawali ich pozycje po hałasie jaki. czyniły szcękające kleszcze i ocierające się o twarde koral pancerze.

Nagle coś zasłoniło gwiazdy. To krab rozciągnął się nad płytką wyrwą pozwalając swej partnerce przejść na drugą stronę. Coś otarło się o stopę Shannona i zaledwie nie krzyknął z przerażenia.

Znów ujrzeli nocne niebo, kiedy samiec dołączył do towarzyszek i przysiadł, by ta mogła się nań wspierać.

Davenport nie miał pojęcia, jak długo trwał ten marsz. Kilkanaście razy kraby przechodziły nad nimi. Drzewa padały z trzaskiem wyrwane z korzeniami, błoto bulgotało pod ich ciężarem. Trwała nieustająca pielgrzymka w celu zachowania okropnego gatunku. Samice były gotowe do złożenia nadnaturalnie wielkich jaj, z których miały wykluć się takie ilości potomstwa, że

ich ilość wystarczyłaby do zapanowania nad wodami świata.

w końcu powrócił spokój nad Pacyfik. Nie słyszeli już trzasku łamanych na bagnach gałęzi.

- Odeszły - wychrypiął Shannon.

Davenport wygramolił się spod półki i rozejrzał wokół. To było okropne, jak senny majak. Przeżyli koszmar na jawie. Ale wiedzieli na pewno, że nie był to sen. Prawdopodobnie całe stado stłoczyło się w centrum mangrowych moczarów.

- Nadszedł czas - Davenport wdrapał się na skałę. - Nie muszę wam mówić, co macie robić. Może się nam uda *albo* nie, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, że próbowaliśmy.

Uścisknęli sobie ręce i rozeszli się, nie oglądając się za siebie.

Cliff odetchnął z ulgą, kiedy płomień żarłocznie objęły drewno mangrowe, rozprzestrzeniając się szybko także na niższe gałęzie drzew.

Podniósł żagiew i przebiegł z nią pięćdziesiąt jardów do kolejnego stosu. Podpalił go, wziął następną i pośpieszył dalej. W drugiej ręce trzymał broń. Była teraz zupełnie bezużyteczna, ale nie mógł jej utracić.

Wkrótce na niebie pojawiła się czerwona luna i kłęby dymu prawie zasłoniły księżyc. Zmusił się do jeszcze większego wysiłku po to, żeby biec dalej, choć potykał się i przewracał często.

W końcu dotarł do ostatniego stosu, ale nie zatrzymał się. Trzymając żagiew wyszukiwał teraz drzewa z obumarłymi gałęziami i przytrzymał przy nich ogień tak długo, póki się nie rozpałyły. Przerwał wtedy, gdy musiał już wyrwać się z płonącego kręgu, ale zdążył jeszcze porwać parę polan, by podłożyć ogień na skraju dżungli.

ściana płomieni szła w stronę bagien pożerając po drodze wszystko i sycząc gniewnie przy zetknięciu z wodą. Nie gasła jednak. Gorejące konary spadały zagradzając przejście i przenosząc

ogień coraz dalej.

Davenport kaszłał, oczy go piekły, a gorące powietrze parzyło całe ciało. buchające płomienie szły za nim dowodząc, że jego misja jest skończona, ale wiedział, że nadal nie może ryzykować. Okrąg musiał być zamknięty zanim kraby uwięzione w pułapce odkryją drogę ucieczki.

Nie było już żadnych cieni. Płomienie sięgały coraz wyżej przy akompaniamencie strzelających iskier, jak w dziwnym pokazie fajerwerków. Zielone drzewa pokryte gęstymi liśćmi skwierczały, wysychając w wysokiej temperaturze.

Shannon wyraźnie słyszał teraz kraby. Atakowały jak rozjuszone bestie chcąc się wyrwać, ale za każdym razem cofały je płomienie. Napotkały na przeciwnika, którego nie mogły pokonać. Zostały pokonane.

Potem zobaczył dużą samicę. Przycupnęła na brzegu w połowie zanurzona i obserwowała piekielną scenę nie rozumiejąc, co się dzieje. Płomienie odbijały się w jej ślepiach potęgując ich złowieszczy blask.

Zatrzymał się. Musiał przejść przed nią; inaczej łańcuch zostanie przerwany. Z jakiegoś powodu nie wyszła na brzeg, żeby złożyć jaja. Być może królowa nie składała ich, osiągając najwyższy stopień ewolucji. Może nie było samca zdolnego umieścić ją na grzbiecie albo żadnemu nie wolno było się z nią parzyć.

Shannon nie wiedział. Wiedział natomiast, że musi ją wyminąć. Podłożył ogień pod drugi krzak i ruszył biegiem. Zauważyła go i błyskawicznie wyciągnęła kleszcze, by go zatrzymać.

- Ty suko! - krzyknął ciskając polanem z całą siłą na jaką potrafił się zdobyć mimo wyczerpania. Żagiew prowadzona niewidzialną mocą trafiła prosto w ohydny maskę, strzelając snopem iskier.

Potwór zasyczał w bolesnej furii. Shannon wyminął ją

grzęznącą w bagnie. Kilka jardów dalej zatrzymał się i odwrócił. Królowa krabów waliła w wodę swoimi szczypcami zanurzając łeb, aby złagodzić piekący ból. Stała dęba i Shannon zobaczył jej oczy. Już nie błyszczały czerwono, były jak martwe. Oślepił ją! Wywlokła się z wody i zwróciła w jego kierunku, ale wiedział, że go nie widziała. Płonące drzewa kołysały się i padały wokół niej. Cofnęła się i narastająca fala ognia pochłonęła ją.

Zakaszłał, znalazł następne polano i ruszył dalej.

Coś poruszyło się w gęstym dymie i zamajaczyło przed nim. Obrócił się wyciągając gałąź w obronnym odruchu. Po chwili wybuchnął histerycznym śmiechem, rozpoznając profesora Davenporta i Klina. Pierścień ognia był zamknięty!

- W porządku - Davenport poklepał go po ramieniu. - Udało się nam. Na Boga, udało się! Tak musi wyglądać piekło, które ulegałoby samounicestwieniu.

- Królowa się wydostała - powiedział Shannon. - Jest w morzu. Oślepiłem ją.

- Jezu! - krzyknął profesor. - Więc nie mamy ich wszystkich. Przebiegła suka. Tak jakby wiedziała. A teraz lepiej iść z odpływem jeśli nie chcemy się upiec z tymi szatanami. Powinieneś je usłyszeć jak tupią wkoło podobne do stada słoni pośród płonących zarośli. Żadna się nie wydostała. Widziałem. Módlmy się tylko, żeby tamta nie była zapłodniona.

Korzystając z odpływu wydostali się wreszcie na koralowiec w pewnej odległości od brzegu. Na bagnach rozgrywało się prawdziwe piekło. Słupy ognia przesunęły się do środka wyspy i nie pożerały wyłącznie zielonych gałęzi. A po jakimś czasie płomienie znikły zupełnie.

Świt nadchodził powoli, pierwsze promienie przedzierały się z trudem przez kłęby dymu od tłących się jeszcze bagien. Nie było wiatru. Drzewo powinno się dopalać całymi dniami, jeśli nie tygodniami.

Tam, gdzie kiedyś rosły mangrowce, pozostały makabryczne

kikuty. Stawy i kanały wodne posypał popioł. Na pogrzebowym stosie dopalały się potworne kraby.

- Nikt się tam nie przedostanie - powiedział Klin.

- Ani nie wydostanie - skrzywił się w uśmiechu Davenport.

Nie rozmawiali o tym, co się stanie z nimi. Ostrygi i małe kraby zginęły także, nie będzie więc na wyspie już pożywienia. Zasiłali śmierć i spustoszenie.

Minęło południe, kiedy zauważyli samolot. Leciał nisko nad wyspą i kiedy zawrócił, cała trójka stanęła na szczycie koralowca, wymachując czarnymi od dymu koszulami. Potem zniknął. Kiedy ucichł warkot silnika, usiedli w milczeniu. Najgorsze, że nie wiedzieli, czy pilot ich dostrzegł. Dym był gęstszy od największej mgły morskiej. Dzień się dłużył. Staw nad słodką wodą wysechł w upale. Davenport przypuszczał, że przeżyją najwyżej kilka dni.

Pod wieczór usłyszeli wreszcie nadlatujący helikopter. Nie musieli nawet wstawać, by ich zauważył. Już lądował na tym samym koralowcu, gdzie usiadł Riordan przed trzema dniami.

Pilot otworzył drzwiczki i czekał aż dobiegną.

- Wszyscy na pokład dranie - wyszczerzył zęby. - Pułkownik Clinton chce was zobaczyć. Jesteście oskarżeni o podpalenie, celowe podłożenie ognia na Oceanie Spokojnym. Smuga dymu dotarła stąd aż na Hayman.

- Do domu, chłopcze i nie ociągaj się - zaśmiał się Cliff. - Mam pilną rozmowę telefoniczną. Właściwie dwie.

Chciał osobiście powiadomić Grisedale'a. Ale nawet on musiał poczekać nim nie skończy rozmowy z Pat.

Shannon myślał o kangurach, na które mógłby bezpiecznie polować i o czekających go patrolach. Pierwsze było marzeniem, drugie - sposobem życia.

Klin uśmiechał się do wspomnienie pewnej walizki zakopanej pod wysokimi sosnami.

Zostawi ją tam gdzie jest. W Barbecue Bay jest jeszcze mnóstwo ryb do złowienia. Bogactwo odbierze tylko życiu wyzwanie.